**W numerze:** JERZY WILMAŃSKI ***Polska i kosmos*** ● TERESA WOJCIECHOWSKA ***Na co dzień i od święta czyli Wiosna i muzyka*** ● KAROL BADZIAK ***A jednak Zakopane*** ● ANDRZEJ MAKOWIECKI ***Balkon świętego Rafaela*** ● ***Felietony*** ● ***Zewsząd o wszystkim*** ● ***Nowela***

# odgłosu

MIANOWANA ODZNAKA M. ŁODZI

23 (759)
4. VI. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

*Fot. L. Czako*

# ŁÓDŹ — JAKA BĘDZIE

**Program rozwoju Łodzi, zatwierdzony przez Biuro Polityczne KC PZPR i Rząd PRL, stworzył warunki nie tylko do odrobienia opóźnień i zaniedbań, ale dał też podstawę do dalszej rozbudowy i modernizacji miasta.**

W bieżącej pięciolatce proces przebudowy Łodzi już się rozpoczął i będzie kontynuowany przez następne pięciolecia. Planiści tworzą dziś koncepcję Łodzi lat osiemdziesiątych. Jaka to będzie Łódź? Z pytaniem tym zwróciliśmy się do zastępcy przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi — **Ksawerego KRASSOWSKIEGO** i naczelnego architekta Łodzi — **Jerzego SADOWSKIEGO.**

**K. KRASSOWSKI:** — Program rozwoju Łodzi, przeznaczając na jej przebudowę 35 mld złotych, określa kształt miasta do roku 1975. A my mamy tu mówić o latach 80-tych, a więc już o koncepcjach, zamierzeniach i prognozach. Dlatego chciałbym się zastrzec, że będę mówił o pewnych projektach, które życie może jeszcze skorygować.

**J. SADOWSKI:** — Tym bardziej, że chcemy mówić o Łodzi, a przecież jej rozwoju nie można traktować tylko jako rozwoju miasta, ale trzeba pamiętać, że już teraz rozwija się wielka miejska aglomeracja.

**ODGŁOSY: — Jak ona wpłynie na przyszły kształt miasta?**

**J. SADOWSKI:** — Na przykład, planuje się wybudowanie w Łodzi w latach 80-tych metra, które w tym czasie ma łączyć Teofilów, Śródmieście z przyszłym centrum i Dąbrową. Jednakże planując metro w skali wielkiej aglomeracji, trzeba brać pod uwagę konieczność połączenia komunikacyjnego nie tylko Teofilowa, Zgierza, Pabianic, ale i nowych, nie istniejących jeszcze dziś dzielnic mieszkaniowych i przemysłowych. I choćby dlatego dziś jeszcze nie można powiedzieć z absolutną pewnością, jaką trasą będą przebiegały przyszłe linie metra.

**ODGŁOSY: — Swego czasu wiele mówiło się o układzie komunikacyjnym — kolei obwodowej, średnicowej, metra i dróg miejskich.**

**K. KRASSOWSKI:** — Rozważając przyszły kształt układu komunikacyjnego w ramach wielkiej aglomeracji miejskiej, nie można pominąć punktów stycznych linii kolejowych z komunikacją miejską: trasami metra, tramwajów i autobusów. W takim rozwiązaniu kolej obwodowa w obecnym kształcie nie odpowiada potrzebom nowej Łodzi.

**J. SADOWSKI:** — I tu znów trzeba wrócić do sprawy skali, w jakiej patrzy się na przyszłe miasto. Tak, jak nie można o Łodzi lat osiemdziesiątych mówić w oderwaniu od wielkiej aglomeracji, tak i wielkiej aglomeracji nie można rozpatrywać w oderwaniu od spraw kraju. Przykładem tego mogą być przyszłe autostrady, które z racji centralnego położenia Łodzi będą się tutaj zbiegać.

**K. KRASSOWSKI:** — Autostrady są znacznie ważniejsze nawet od lotniska, o którym ostatnio tyle się mówi i pisze.

**ODGŁOSY: — Dlaczego?**

**J. SADOWSKI:** — Autostrady są po prostu czynnikiem miastotwórczym, czego liczne przykłady mamy w krajach wysoko uprzemysłowionych. W ogromnym skrócie wiąże się to z przemysłową kooperacją, rozwojem transportu samochodowego i motoryzacji indywidualnej, a więc i turystyki. Przecież już i u nas coraz częściej korzysta się z transportu

Dalszy ciąg na str. 4

KONRAD FREJDLICH

# Laury i niepokoje

Siódmy już raz Łódź gościła w swoich murach poetów i krytyków literackich z całej Polski, którzy wzięli udział w dorocznym święcie na cześć Apollina. Może zresztą określenie to nie jest najszczęśliwsze, gdyż Ogólnopolskie Festiwale Poezji mają tradycyjnie charakter roboczy, a gala konkursowo-nagrodowa stanowi tylko tło dla manifestowanych z trybuny zjazdowej sporów o stan sztuki wierszopisarskiej w naszym kraju. I to chyba sprawia, że mimo nadmiaru festiwali w Polsce (Kłodzka Wiosna, Toruński Maj, gdańska „Czerwona Róża") łódzkie spotkania okazały się instytucją potrzebną i trwałą. Ich formuła kształtowała się dość długo, każdy rok przynosił jakieś innowacje, ale, jak się wydaje, rezultaty tych mutacji pozwalają wróżyć Festiwalowi długą żywotność. Jest potrzebny. Stanowi on przecież próbę ujawnienia tego wszystkiego, co składa się na obraz polskiej poezji współczesnej oraz towarzyszącej jej myśli krytycznej. Służą temu zarówno rozpisywane uporczywie konkursy na wiersz, jak też nagrody za najlepszy tom poezji wydany w okresie między kolejnymi festiwalami, których laureatami byli w latach ubiegłych m. in. Urszula Kozioł, Stanisław Grochowiak, Zbigniew Herbert czy wreszcie Stanisław Barańczak. Służy temu także nagroda za najlepszy tom esejów o poezji, którą otrzymali dotychczas: Andrzej Lam, Stanisław Czernik i Jerzy Lisowski.

Można się oczywiście zastanawiać, czy ambicje organizatorów nie przerastają możliwości festiwali w ogóle, czy nie przypisujemy tym dorocznym zjazdom roli, której odgrywać nie są zdolne? Cząstkę tych niepokojów odnalazłem choćby w referacie Romana Łobody zatytułowanym „Poezja jako czynnik i efekt modelowania osobowości". Może dlatego, że swoją refleksję oparł on na doświadczeniach dotychczasowych festiwali łódzkich, operował więc przykładami na nich właśnie ujawnionymi. Można się także zastanawiać, czy nie wymagamy od poezji zbyt wiele zapominając o immanentnych możliwościach tego gatunku literackiego, który choć nośny, nie odbierze atrakcyjności innym formom wypowiedzi. Bo przecież to, co się chętnie nazywa kryzysem poezji, jest w gruncie rzeczy kryzysem jej upowszechniania, o czym świadczą nakłady tomików wierszy w naszym kraju; nakłady tak niskie, że książka poetycka przestaje funkcjonować w świadomości społecznej.

Dalszy ciąg na str. 3

# ze ŚWIATA

**26 MAJA RADA PAŃSTWA RATYFIKOWAŁĄ UKŁAD MIĘDZY POLSKĄ A NIEMIECKĄ REPUBLIKĄ FEDERALNĄ.** *Wcześniej, na posiedzeniu Sejmowych Komisji: Spraw Zagranicznych i Prac Ustawodawczych, przeprowadzona została szeroka dyskusja, w której wszyscy zabierający głos posłowie opowiedzieli się za ratyfikacją. Tak więc — z chwilą wymiany dokumentów ratyfikacyjnych, która będzie miała miejsce w Bonn — układ wejdzie w życie. Oznacza to, że po raz pierwszy od wieków żadne już państwo nie będzie kwestionowało naszych granic.*

*W toku debaty na posiedzeniu sejmowych komisji stwierdzono, że układ daje dobre podstawy do normalizacji stosunków międzypaństwowych, przebieg zaś procesu normalizacyjnego zależeć będzie od rzetelnego wypełnienia jego postanowień. Czy będzie to łatwe? Z pewnością — nie. W NRF działają przecież nadal siły przeciwne układom Warszawa — Bonn i Moskwa — Bonn, które nie są zainteresowane odprężeniem w Europie. Pod ich to wpływem w Bundestagu wniesiono pewne zastrzeżenia. Dla nas nie mają one żadnego znaczenia, gdyż pozbawione są jakiejkolwiek mocy prawnej, ale dają wyraz istnieniu sił przeciwnych układom.*

*Nie zamykając oczu na ten fakt — w układach upatrujemy szansy na znormalizowanie stosunków i rozwinięcie współpracy z państwami o odmiennych ustrojach. W myśl idei pokojowego współistnienia, która leży u podstaw polityki europejskich krajów socjalistycznych.*

* * *

*Idea współistnienia i obrony pokoju przyświecała również przywódcom radzieckim w moskiewskich rozmowach z prez. Nixonem. Dotychczasowy bilans tych rozmów, mierzony obustronnymi zobowiązaniami, wyraża się podpisaniem sześciu układów: o współpracy w dziedzinie ochrony naturalnego środowiska, o współpracy w dziedzinie medycyny i ochrony zdrowia, o współpracy w kosmosie, o współpracy naukowo-technicznej, w sprawie unikania incydentów na morzu oraz porozumienia o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. Wszystkie one służą pokojowej współpracy, ale najważniejsze z nich znaczenie ma dwustronne porozumienie na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych — o ograniczeniu systemów obrony przeciwrakietowej i — na lat pięć — o niektórych środkach w dziedzinie ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych.*

*Układ określa obowiązki obu stron w zakresie systemów obrony przeciwrakietowej, zaś tymczasowe porozumienie zobowiązuje do niezwiększania liczby rakiet na stanowiskach naziemnych, ograniczenia liczby nowoczesnych okrętów podwodnych z rakietami balistycznymi oraz liczby wyrzutni rakiet balistycznych na atomowych okrętach podwodnych. Postanowienia te są rezultatem z górą trzyletnich rozmów, prowadzonych w Helsinkach i Wiedniu, często w komentarzach prasy światowej określanych jako „najpoważniejsze rokowania naszych czasów".*

*Waga porozumienia polega na tym, że powstrzymuje przed eskalacją zbrojeń w najniebezpieczniejszej z dziedzin, a zarazem najbardziej kosztownej oraz że otwiera możliwości dalszych wzajemnych zobowiązań, hamujących wyścig zbrojeń.*

*Oto co na ten temat powiedział premier Kosygin:*

> *„Mamy nadzieję, że porozumienie w tych sprawach wejdzie do historii jako doniosłe osiągnięcie na drodze do zahamowania wyścigu zbrojeń. Porozumienie stało się możliwe tylko dzięki ścisłemu przestrzeganiu zasady jednakowego bezpieczeństwa stron i niedopuszczalności uzyskania jakiejkolwiek jednostronnej przewagi..."*

*I dalej:*

> *„Te decyzje, co do których osiągnęliśmy porozumienie lub możemy się porozumieć, niewiele byłyby warte, gdyby stały w sprzeczności ze słusznymi interesami innych państw, z interesami ich bezpieczeństwa i niepodległości. Dlatego nie po to spotykamy się z prezydentem USA przy stole rozmów, by decydować za inne narody i kraje..."*

*Zwróćmy uwagę Czytelników na jeszcze jeden fragment tego przemówienia, odnoszący się do wygaszania zapalnych ognisk w świecie.*

> *„...Aby pewnie iść do celu — powiedział A. Kosygin — którym jest trwały pokój, należy uczynić wszystko, co możliwe, by zlikwidować istniejące ogniska wojny w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie, przy ścisłym poszanowaniu praw narodów do niezależnego rozwoju, przestrzeganiu zasady nieingerencji w ich sprawy wewnętrzne i nienaruszalności ich terytoriów państwowych."*

*Na bilans moskiewskich rozmów przedstawicieli dwóch supermocarstw światowych jeszcze za wcześnie. Już można jednak powiedzieć, że przyniosły one postanowienia, ułatwiające utrzymanie światowego pokoju. Komentatorzy zwracają uwagę na to, iż Nixon tym samym musi zakończyć swą politykę z pozycji siły wobec obozu socjalistycznego i podjąć taką, która by respektowała jego podpisy.*

*Trasa podróży i politycznych rozmów prez. Nixona prowadzi również przez Polskę. W chwili, kiedy ten numer „Odgłosów" znajdzie się w rękach czytelników, w Warszawie toczyć się będą rozmowy. Ten fakt świadczy, że Polska aktywnie uczestniczy w światowym dialogu i konsekwentnie realizuje programowe zasady pokojowego współistnienia.*

*W toku warszawskiego spotkania podjęte zostaną z pewnością także problemy, wynikające z dwustronnych stosunków, otwierając, być może, możliwości rozszerzenia kontaktów handlowo-gospodarczych oraz naukowo-kulturalnych.*

*W. SŁAWSKI*

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

## „Inturist" rozszerza usługi

**„BUSINESS WEEK" — NOWY JORK**

Radziecka instytucja „Inturist" bardzo widocznie rozszerza swoją działalność, co wskazuje na dążenie ZSRR do rozładowania napięcia międzynarodowego i umocnienia kontaktów handlowych z krajami Zachodu.

Rosja przeżywa obecnie coś w rodzaju „turystycznego boomu". W ubiegłym roku przebywało w ZSRR z górą 2 miliony cudzoziemców, z czego połowa — z krajów niesocjalistycznych. „Inturist" rozszerza swoją bazę materialną, nawiązuje kontakty z kompaniami lotniczymi i firmami turystycznymi.

W Związku Radzieckim buduje się ponad 30 wielkich hoteli i dziesiątki moteli, w tej liczbie także w takich czarnomorskich miastach, jak Jałta i Odessa. W przeciągu niewielu lat „Inturist" zwiększy swój stan posiadania o około 80 tysięcy miejsc.

Nowy moskiewski hotel „Inturist" zaćmił uprzednich faworytów: „National" i „Metropol". W końcu bieżącego roku zostaną w Moskwie otwarte dwa nowe hotele. W Leningradzie nowy, współczesny hotel „Leningrad" konkuruje z dwoma eleganckimi hotelami „Astoria" i „Europejski". „Inturist" nieustannie rozszerza „asortyment" usług. Obok zwykłych, kompleksowych programów dla wycieczek indywidualnych i grupowych, „Inturist" proponuje szeroki wybór podróży turystycznych po Morzu Czarnym i Wołdze. Amatorom myśliwstwa oferuje się na Syberii emocje zmierzenia sił z niedźwiedziami.

Rosjanie liczą, że uda im się przyciągnąć miłośników narciarstwa z „przeludnionych" stoków górskich zachodniej Europy. W tym celu radziecka delegacja, jak niedawno podano do wiadomości, zapozna się wkrótce z francuskimi kurortami alpejskimi, a do Związku Radzieckiego przyjadą Francuzi, którzy zlustrują Kaukaz, by rozważyć możliwości uczestniczenia w rozszerzeniu starych i budowie nowych baz turystycznych w tym rejonie. Przedstawiciel „Air France" w Moskwie mówi: „Większa część Alp jest już nasycona do ostatecznych granic i uprawianie sportu narciarskiego w Rosji budzi szerokie zainteresowanie".

Amerykańskie i kanadyjskie kompanie lotnicze mając na względzie rosnące korzyści z tych kontaktów z ZSRR, rozszerzają swoją działalność. „Alaska Airways", która w 1970 roku uruchomiła specjalne loty dla turystów na Daleki Wschód i na Syberię, zamierza obecnie włączyć do swych marszrut także Leningrad. „Air-Canada" organizująca specjalne loty do stolicy Związku Radzieckiego z Montrealu, planuje tego lata uruchomić nową trasę do Kijowa.

„Pan-American", amerykańska kompania lotnicza, prowadząca bezpośrednie loty na trasie Moskwa — Nowy Jork i mająca stałego przedstawiciela w Moskwie, zorganizowała kilka wycieczek swoich pracowników do ZSRR, by zapoznać się z krajem.

## Perspektywy handlu ze Wschodem

**„CHRISTIAN SCIENCE MONITOR" — BOSTON**

Na obecnym etapie rozładowania napięcia międzynarodowego, ekonomiczne kontakty między Wschodnią i Zachodnią Europą mogą się rozszerzyć bardzo szybko. Problemy rozwoju handlu między Wschodem i Zachodem, jak również inne zagadnienia, były przedmiotem niedawnego sympozjum w Belgii, poświęconego sprawom zagranicznej polityki ekonomicznej rozszerzonego Wspólnego Rynku. W sympozjum uczestniczyli eksperci i odpowiedzialni pracownicy EWG oraz obserwatorzy z wielu krajów Zachodniej Europy. W wygłoszonych referatach wyjaśniono rolę Wspólnego Rynku w świecie po przystąpieniu doń Wielkiej Brytanii, Irlandii, Danii i Norwegii.

Autor książki „Współistnienie a handel", Samuel Pesar, wskazał w swoim wystąpieniu na poważne rozbieżności w sprawie stosunków handlowych ze Wschodem — wśród krajów Wspólnego Rynku i stwierdził, że rozbieżności te istnieją nadal, także po rozszerzeniu EWG. O ile stosunki handlowe z USA i z Japonią coraz bardziej zmuszają kraje Wspólnego Rynku do umacniania wspólnego frontu, o tyle handel ze Wschodem, wraz z jego wszystkimi politycznymi niuansami, ujawnia rozłam wśród krajów — uczestników Wspólnego Rynku, ujawnia ich dążenie do samodzielnego realizowania swoich idei. I chociaż teoretycznie Wspólnota powinna rozpocząć rozmowy ze Wschodnią Europą we wspólnym bloku, już dnia 1 stycznia 1973 roku, to faktycznie rządy krajów wspólnoty wykazują swoje desinteressement w przestrzeganiu tego obowiązku. W szczególności Francja i Zachodnie Niemcy, mając na uwadze własne interesy polityczne we Wschodniej Europie, patrzą bardzo niechętnie na oddanie pełnomocnictwa do rozmów z krajami Wschodniej Europy w ręce komisji EWG w Brukseli.

Mimo, że w 1972 roku handel między Wschodnią Europą i krajami Wspólnego Rynku osiągnie prawdopodobnie obroty rzędu 10 miliardów dolarów, sympozjum odnotowało pewne zwolnienie tempa jego wzrostu. Jednakże nie można nie widzieć obiecujących oznak w fakcie, że import do krajów Wspólnego Rynku wyrobów przemysłowych ze Wschodu rośnie szybciej, niż import produktów żywnościowych i surowców, a także szybciej od importu towarów przemysłowych z innych krajów świata. Na sympozjum wyrażano opinię, że Wschód mógłby proponować, a Zachód — — wchłaniać znacznie więcej towarów przemysłowych, głównie takich, jak wysokowydajne obrabiarki i urządzenia naukowe, które stanowią dziś najbardziej dynamiczny sektor handlu światowego.

Potrzebna jest do tego gotowość obu stron do ułatwienia dostępu na określone rynki oraz dążenie do stworzenia nowych form przemysłowej i technicznej współpracy, włącznie z uczestniczeniem we wspólnych badaniach naukowo-technicznych.

Ze strony Zachodu — podkreślano na sympozjum — zbyt zintegrowane podejście EWG do handlu ze Wschodem, przy którym obstają zwolennicy jedności zachodnioeuropejskiej, mogłoby wywołać niepożądane skutki.

Samuel Pesar zaproponował, by w dążeniu do usunięcia przeszkód, wynikających z różnic w systemach handlu, przeprowadzić rozmowy między Wschodem i Zachodem w celu wypracowania statutu sprawiedliwych warunków, który by ułatwił stosunki między państwowym handlem i prywatną ekonomiką, a w dalszej perspektywie pomógł państwowym instytucjom handlu zagranicznego szerzej uczestniczyć w ogólnym handlu światowym.

## Alarm na Morzu Śródziemnym

**„JEUNE AFRIQUE" — TUNIS**

Diagnoza jest jednomyślna: Morze Śródziemne znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Specjaliści poszukują środków na zaradzenie złu, a kraje śródziemnomorskie zrozumiały wreszcie, co im grozi, jeśli nie podejmą wspólnej walki z systematycznym zanieczyszczaniem morza.

Główną przyczyną ciężkiego schorzenia Morza Śródziemnego jest ograniczona cyrkulacja jego wód, niezwykle wolne tempo wymiany tlenu i brak substancji odżywczych, niezbędnych dla mieszkańców podwodnego świata. Zanieczyszczanie wód produktami naftowymi i chemicznymi, odpadami przemysłowymi itp. gwałtownie pogarszają sytuację.

Przyczyny tego kryzysu są ściśle związane z burzliwym rozwojem industrializacji, wzrostem liczby ludności i brakiem kontroli nad zanieczyszczeniem naturalnego środowiska człowieka.

Morza — Śródziemne i Czarne mają tylko jedno ujście do wód Oceanu Atlantyckiego: cieśninę Gibraltarską. Podczas przypływów wody Oceanu przenoszą przez cieśninę tlen, zaś prądy podwodne unoszą do Oceanu wody najbardziej zanieczyszczone. Jednakże cieśnina jest bardzo wąska i, jak obliczają uczeni, dla pełnego odświeżenia wód Morza Śródziemnego potrzeba by około 80 lat.

Biologiczna równowaga w wodach morskich może być naruszona w różny sposób. Niektóre elementy zanieczyszczeń zabijają rośliny i świat zwierzęcy, inne wchłaniają tak wielkie ilości tlenu, że nie pozostaje go dla innych organizmów morskich.

DDT i inne analogiczne środki kumulują się w niektórych podwodnych organizmach. Koniec końców zanieczyszczenia te trafiają do ryb i innych produktów morskich i spożywane później przez ludzi powodują niebezpieczne zatrucia, a nawet śmierć.

Dwoma najbardziej zanieczyszczonymi rejonami Morza Śródziemnego są — francuskie Lazurowe Wybrzeże oraz rejon między Wenecją a Triestem na Morzu Adriatyckim.

Rhonę, wpadający do Morza Śródziemnego w pobliżu Marsylii i rzekę Po, wpadającą do Morza Adriatyckiego na południe od Wenecji, nazywano niegdyś płucami Morza Śródziemnego. Wraz z Zatoką Gibraltarską stanowiły one główne źródło wymiany tlenu. Obecnie są kloaką, zbiornikiem przeróżnych odpadów i zanieczyszczeń.

Niedawno przeprowadzono badania poziomu zanieczyszczenia wód morskich i powietrza w rejonach przybrzeżnych, omywanych przez obie te rzeki, gdzie ich nurt jest bardziej aktywny, aniżeli w innych rejonach Morza Śródziemnego. I oto jugosłowiańscy specjaliści z Centrum Badań Wód Morskich w Zagrzebiu podali, że proces zanieczyszczenia Morza w rejonie Wenecja — Triest „osiągnął zatrważający poziom, wyższy, niż w innych rejonach tego morza".

Nie jest lepiej i w rejonie Marsylii, gdzie port, fabryki i ludność wyrzucają do morza masy przeróżnych odpadów. Procent zagęszczenia bakterii na powierzchni wody morskiej przewyższył już „próg poziomu bezpieczeństwa". Reda portu marsylskiego jest skażona detergentami i pestycydami, pokryta warstwą cuchnącej mazi. Niektóre rodzaje roślinności i zwierzęcego świata morskiego zostały wyniszczone, podczas gdy inne rozmnażają się w zastraszającym tempie.

Zanieczyszczenia wzbudzają już poważny niepokój na wybrzeżach: hiszpańskim, francuskim i włoskim, gdzie odpady trafiają do morza bez uprzedniego oczyszczenia.

Głównym winowajcą wyrzucania szkodliwych odpadów chemicznych do zachodniego basenu Morza Śródziemnego, włącznie z Adriatykiem, są fabryki metalurgiczne i włókiennicze, zakłady papiernicze, fabryki produkujące nawozy i detergenty, składy portowe, fabryki cementu oraz fabryki mas plastycznych. Szerokie stosowanie pestycydów, głównie w ujściach rzek i w lagunach, prowadzi do wyniszczenia świata podwodnego na wszystkich poziomach, od zmniejszenia ilości planktonu, do zmniejszenia ilości ryb.

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

# Laury i niepokoje

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Główny nurt życia poetyckiego toczy się oczywiście nie na festiwalach i festynach, toczy się niekiedy wbrew nim, odkąd rozpowszechniła się poezja konkursowa i zawodowi kolekcjonerzy nagród. Z drugiej jednak strony trzeba pamiętać o tych tysiącach młodych poetów in spe, dla których udział w konkursie jest czasem jedyną szansą zaznaczenia swojej obecności. Trzy tysiące nadesłanych do Łodzi utworów, a nie był to wcale rok wyjątkowy, sygnalizują nam ten fenomen, który już wcześniej nazwano „wyżem demolirycznym". Jest to zagadnienie raczej dla socjologa niż krytyka, chociaż od krytyki właśnie wymaga się wytyczenia dróg na tym niezbadanym obszarze. Czy można się dziwić, że krytyk wyręcza się jurorem?

Ta sytuacja rzutuje na świadomość poetów w Polsce. Na jej tle dość nieistotny i jałowy wydaje mi się spór o lingwizm i wrzawa wokół jego głównego heroldą — Stanisława Barańczaka. Dobrze się jednak stało, że Zbigniew Jerzyna nadał swemu wystąpieniu zatytułowanemu „Aktualne tendencje w poezji" cechy manifestacji pokoleniowej, zastrzegając się zresztą, że między prawdziwymi poetami podziały pokoleniowe nie odgrywają istotnego znaczenia. Atak na lingwizm zawisł jednak nieco w próżni, gdy Festiwal przeniósł się do Uniejowa i świeże powietrze złagodziło temperamenty, a Krzysztof Mętrak dokonał próby określenia „Świadomości poetyckiej we współczesności". Był to głos ważki, bo pełen niepokoju o stan poezji współczesnej i chociaż nie wywołał żywiołowej dyskusji wracało się do niego w prywatnych rozmowach.

W porównaniu z poprzednim Festiwalem Poezji tegoroczny pozostawił wrażenie jakiegoś niedosytu. Może dlatego, że naboje zostały wystrzelane już wcześniej, w polemikach prasowych i zmasowanych atakach, jakie zdobywczy lingwiści skierowali przeciwko „Pokoleniu Współczesności" i „Pokoleniu 1960". Toteż dyskusja festiwalowa stanowiła tylko daleki pogłos sporów stoczonych wcześniej i gdzie indziej, jeśli oczywiście nie liczyć wypowiedzi osobistych, przemyśleń z własnej drogi twórczej, które także nadają ton dyskusji.

Myślę natomiast, że to uczucie niedosytu ominęło czytelników poezji. Jak już komunikowałem o tym przed tygodniem, uczestnicy Festiwalu wystąpili w samej tylko Łodzi na 36 spotkaniach autorskich. 12 spotkań odbyło się na Ziemi Łódzkiej, która po raz pierwszy gościła poetów biorących udział w Festiwalu. Te bezpośrednie spotkania i rozmowy służą sprawie upowszechniania poezji i są jedną z dróg przezwyciężania kryzysu, o którym tyle mówiono z trybuny zjazdowej. Podobną rolę odgrywa zresztą także Turniej Jednego Wiersza, będący swoistym porankiem autorskim. Turniej, dodajmy, w którym triumfowali w tym roku sami łodzianie. Również wiersze nagrodzone w konkursach, odczytane przez Barbarę Wałkównę, Jana Zdrojewskiego i Józefa Zbiróga były manifestacją na rzecz upowszechnienia słowa poetyckiego. Tego słowa, które w swoich najwybitniejszych realizacjach potrafi kształtować wrażliwość zbiorową.

**KONRAD FREJDLICH**

*

Jury VII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w składzie: Zbigniew Bieńkowski, Jan Błoński, Wojciech Boczkowski, Jan Czarny, Krzysztof Gąsiorowski, Andrzej Lam, Ryszard Matuszewski, Bogdan Ostromęcki, Stefania Skwarczyńska, Michał Sprusiński, Jacek Trznadel, Marek Wawrzkiewicz **w konkursie na niepublikowany wiersz dla poetów po debiucie książkowym** postanowiło nie przyznawać I nagrody. Dwie równorzędne nagrody II otrzymali: **Józef Olszewski** z Tomaszowa Mazowieckiego oraz **Feliks Rajczak** ze Zduńskiej Woli. Trzy równorzędne nagrody III otrzymali: **Bogusław Sławomir Kunda** z Wrocławia, **Edmund Pietryk** z Nowego Tomyśla oraz **Mieczysław Stanclik** z Bielska Białej.

**W konkursie na niepublikowany wiersz dla poetów przed debiutem książkowym** jury także nie przyznało I nagrody. Dwie równorzędne nagrody II otrzymali: **Marian Janusz Kawałko** z Lublina i **Andrzej Lenartowski** z Kielc. Cztery równorzędne nagrody III otrzymali: **Wojciech Kurzej** z Krakowa, **Ignacy Szczepański** z Łodzi, **Grzegorz Stachowiak** z Zielonej Góry oraz **Andrzej Warzecha** z Krakowa.

**Nagrodę za najlepszy tom poezji** w okresie między festiwalami otrzymała **Wisława Szymborska** z Krakowa, autorka książki „Wszelki wypadek", wydanej przez S. W. „Czytelnik".

**Nagrodę za najlepszy tom esejów o poezji** wydany w okresie między kolejnymi festiwalami otrzymał **Jacek Łukasiewicz** z Wrocławia, autor książki „Laur i ciało", opublikowanej przez PIW.

Wisława Szymborska oraz Jacek Łukasiewicz otrzymali jednocześnie medale pamiątkowe Łódzkiej Wiosny Artystycznej.

Jury **Turnieju Jednego Wiersza** w składzie: Bohdan Drozdowski, Wojciech Kawiński, Tadeusz Śliwiak oraz Aleksander Rymkiewicz (przewodniczący), po wysłuchaniu 26 utworów zgłoszonych do konkursu przyznało I nagrodę **Lucynie Skompskiej** z Łodzi, nagrodę II **Zdzisławowi Jaskule** z Łodzi oraz nagrodę III **Witoldowi Sułkowskiemu** z Łodzi.

*Fot. A. Wach*

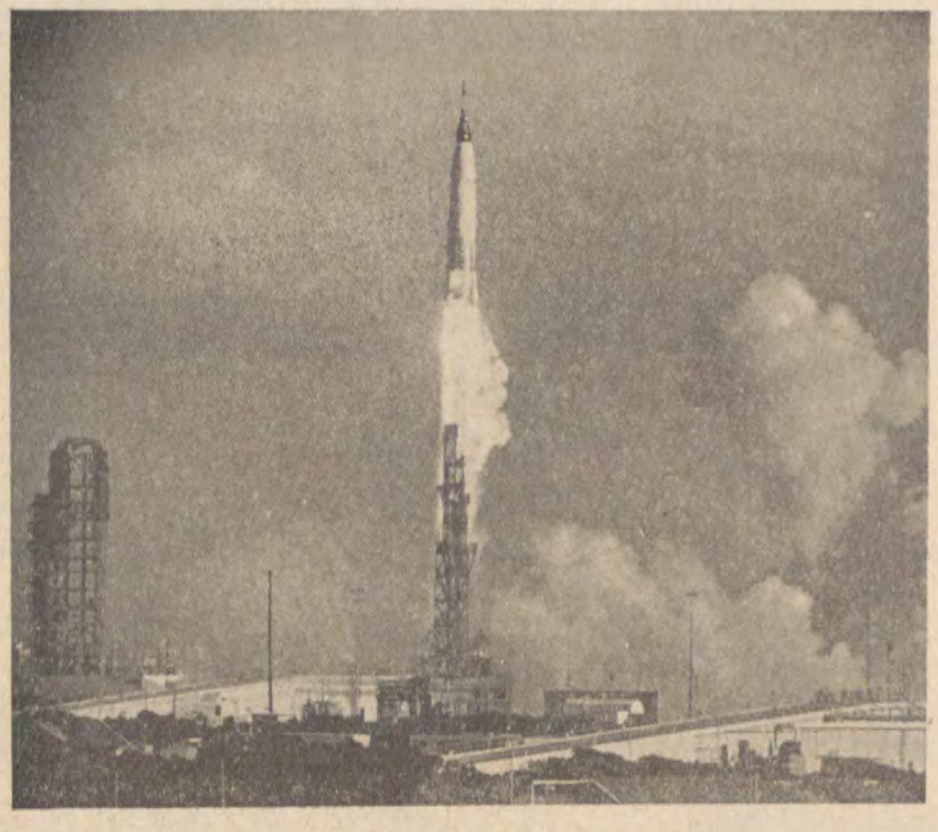

# Polska i kosmos

## *Rozmowa z doc. dr Jerzym Jatczakiem*

PRZEWODNICZĄCYM ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA ASTRONAUTYCZNEGO, REDAKTOREM NACZELNYM CZASOPISMA „POSTĘPY ASTRONAUTYKI"

**— Polska nie jest astronautycznym mocarstwem, ale przecież uczonych zajmujących się tymi sprawami mamy w kraju sporo. Może więc parę słów na temat „Polska a kosmos"...**

— Oczywiście, zajmujemy się kosmosem i to nie tylko „sobie a muzom", lecz w ramach międzynarodowego programu „Interkosmos". Na przykład naukowcy wrocławscy brali udział w eksperymentach rakietowych. Opracowali aparaturę, którą w przestrzeń kosmiczną wyniesiono przy pomocy radzieckich rakiet — do górnych warstw atmosfery. Konkretnie polska aparatura badała widmo ultrafioletowe Słońca.

Ponadto grupa fizyków krakowskich zaproponowała ciekawy i nowatorski eksperyment, polegający na umieszczeniu w sztucznym satelicie bloku emulsji jądrowej w celu poddania go działaniu promieniowania kosmicznego. Jest to zupełnie nowa metoda badań promieniowania przy pomocy sztucznych satelitów Ziemi. Dotychczas badano je głównie przy pomocy metod licznikowych. Projekt grupy fizyków krakowskich został zrealizowany w bieżącym roku — blok emulsji znalazł się na jednym z radzieckich sputników.

Prowadzimy zresztą stałe obserwacje satelitów, istnieje w Polsce 11 stacji prowadzących w ramach programu te obserwacje i przekazujących wyniki do Moskwy. Prowadzi się także bardzo ciekawe prace na temat medycyny kosmicznej w Instytucie Medycyny Lotniczej. Niezależnie od badań w ramach programu „Interkosmos" wielu naukowców i wiele ośrodków prowadzi szereg prac nie objętych planem międzynarodowym.

Na przykład grupa kierowana przez mgr Jacka Skibińskiego zbudowała pod Krakowem stację odbierającą informacje meteorologicznych satelitów Ziemi. Ponieważ sygnały nadawane przez aparatury satelitów są, oczywiście, zakodowane, grupa mgr Skibińskiego otrzymała tzw. czarną skrzynkę, czyli zespół materiałów służących do rozszyfrowania owych kodów. Ponadto jako jedyne państwo socjalistyczne (poza Związkiem Radzieckim, rzecz prosta) posiadamy własne rakiedy do badania górnych warstw atmosfery. Chodzi tu o rakiety typu „Meteor 3", które osiągają pułap 70 kilometrów.

**— W związku z Rokiem Kopernikańskim nastąpiło pewne ożywienie i wzmożone zainteresowanie sprawami astronomii i astronautyki. Jak w tej sytuacji wygląda program prac Polskiego Towarzystwa Astronautycznego?**

— Ożywienie istotnie nastąpiło. Buduje się planetaria w Olsztynie, Grudziądzu, planuje się budowę w Kielcach. My organizujemy w bieżącym roku trzy sympozja naukowe. Poświęcone będą technice rakietowej, a konkretnie udziałowi cybernetyki w technice rakietowej — dalej — problemom sztucznego oddziaływania na atmosferę ziemską oraz medycynie kosmicznej.

Formą zewnętrzną są wydawnictwa. Szeroko kolportowany poprzez „Ruch" jest dwumiesięcznik „Astronautyka" — pismo o charakterze popularno-naukowym, „Postępy Astronautyki" natomiast są czasopismem ściśle naukowym, publikującym prace badawcze polskich uczonych, dokumentujące udział polskiej myśli astronautycznej w badaniu przestrzeni kosmicznej. Mało kto zapewne wie, że „Postępy Astronautyki" ukazują się właśnie w Łodzi.

Warto też wspomnieć, że rok bieżący to także 15-lecie badań kosmicznych — w październiku 15 lat temu wystrzelono pierwszego sputnika. W związku z tym jubileuszem PTA organizuje centralne uroczystości podsumowujące ten okres badania kosmosu.

**— Kończy się amerykański program „Apollo" i co dalej? Także ciekawi nas program badań radzieckich...**

— W kwietniu gościł w Polsce jak wiadomo radziecki kosmonauta A. Jelisiejew, nawiasem mówiąc doktor nauk technicznych. W oparciu o jego wypowiedzi program badań radzieckich wygląda w skrócie tak: montowanie orbitalnych stacji z ludzką załogą — rozszerzanie badań układu planetarnego w kierunku Wenus i Marsa oraz kontynuowanie automatycznych badań Księżyca.

Bardzo konkretne, choć ogólnie biorąc — podobne do radzieckich — są plany amerykańskie. NASA zamierza zbudować (lub już buduje) transportowy statek kosmiczny do wielokrotnych lotów. Dotychczas wszystkie statki odbywały tylko jeden rejs. Amerykański „transportowiec" obliczony jest na 100 lotów. Plany zakładają, że w ciągu najbliższych 13 lat odbędzie się około 700 takich lotów.

Związane są one oczywiście z budową stacji orbitalnej „Skylab". Masa tej stacji początkowo wyniesie 64,4 tony, 354 m sześć. objętości. Przewiduje się jednak możliwość rozbudowy stacji na orbicie do potężnych rozmiarów. Ma to być baza mieszcząca 50 osób na pokładzie — masa 413 ton, 110 m długości i sztuczna siła przyciągania.

Amerykanie opracowują także program „Grand Tour" (Wielka podróż) — lot wzdłuż całego układu planetarnego. Za najważniejsze uważają — budowę sondy kosmicznej TOPS, w której jako źródło energii elektrycznej będą służyć generatory termoelektryczne zasilane energią jądrową. W ramach amerykańskiego programu w bieżącym roku poleci owa sonda w kierunku Jowisza, Saturna, Uranu i Neptuna.

W 1973 roku wystartuje powtórnie w kierunku Jowisza sonda „Pioneer". W tym samym roku Mariner poleci na Wenus i Merkurego. Planuje się, że w roku 1976 sonda „Viking" łagodnie wyląduje na Marsie. Zainstalowana na niej będzie panoramiczna kamera telewizyjna oraz kamera sprzężona z mikroskopem do badania skał.

Tak więc — reasumując — w piętnastym roku badań kosmicznych mamy nie tylko szereg osiągnięć, ale rysują się coraz śmielsze perspektywy: ludzkość zaczyna stawiać ogromne kroki w dal, w przestrzeń kosmiczną, dotąd niepojętą i nieznaną.

**Notował: JERZY WILMAŃSKI**

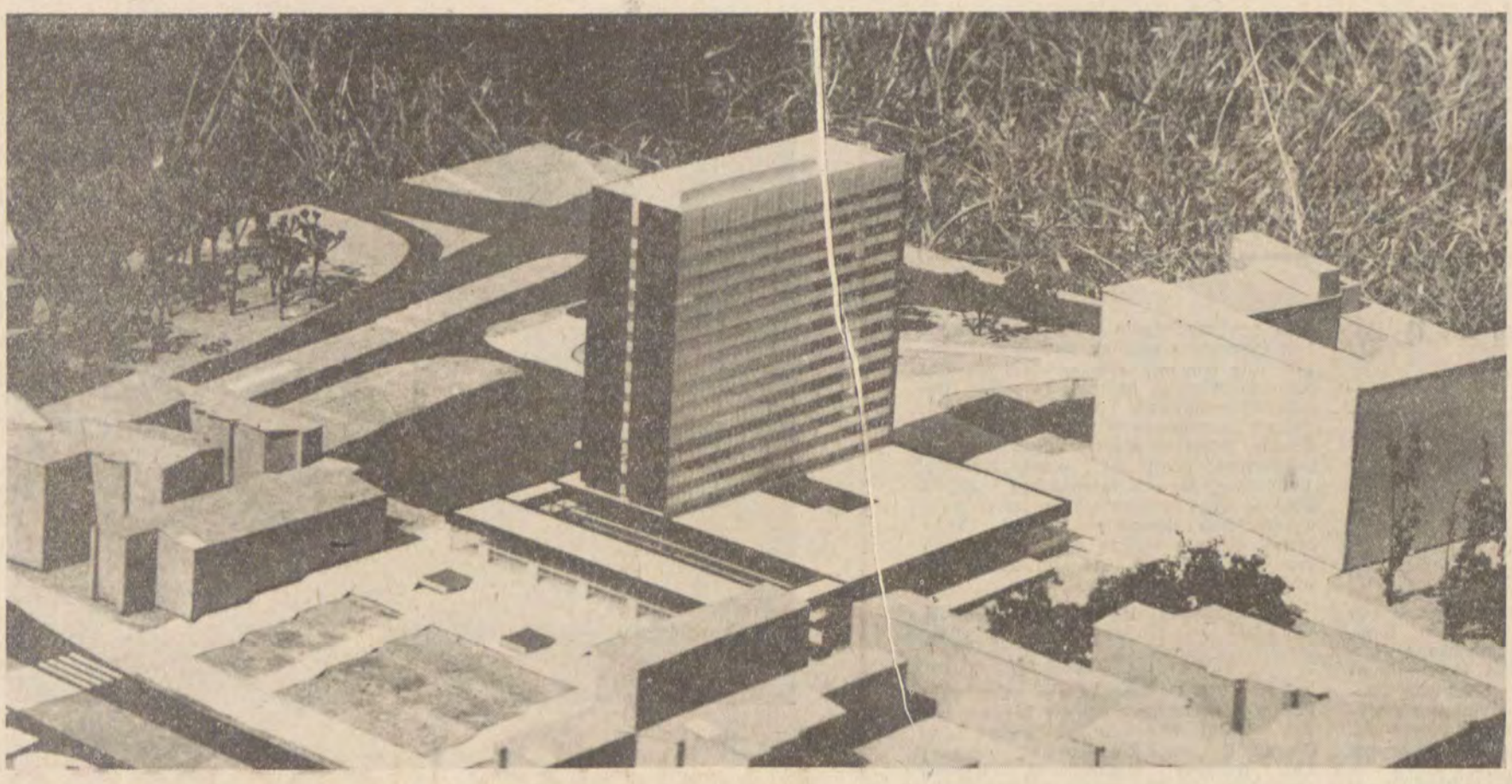

MAKIETA HOTELU, KTÓRY POWSTAJE PRZY UL. KILIŃSKIEGO

Dalszy ciąg ze str. 1

# Łódź - jaka będzie

samochodowego, zamiast kolejowego. I dalej proces ten będzie postępował.

**ODGŁOSY: — Autostrady mają jednak swoich przeciwników. W wyobraźni widzą oni już gęste chmury spalin spowijające przyszłą Łódź.**

**K. KRASSOWSKI:** — Rozwój motoryzacji wiąże się ze wzrostem zanieczyszczenia powietrza. Będziemy temu przeciwdziałać poprzez realizowanie właściwych układów urbanistycznych. Przyszłe autostrady nie mogą omijać Łodzi, choćby tylko dlatego, że, jak wykazały badania, już obecnie z wszystkich samochodów zdążających w kierunku Łodzi — dla 85 proc. celem jest nasze miasto. Trzeba przy tym podkreślić, że ta sama ilość samochodów, przejeżdżając szybko przez miasto autostradami, wydzieli mniej spalin, niż gdyby miała przeciskać się przez wąskie ulice. Autostrady zmniejszają także hałas i zwiększają bezpieczeństwo ruchu.

**J. SADOWSKI:** — Planowany układ autostrad w granicach Łodzi będzie miał charakter miejskich arterii ekspresowych. W połowie lat osiemdziesiątych przewidujemy rozwój układu przez dodanie obwodnicy zewnętrznej dla ruchu tranzytowego.

**K. KRASSOWSKI:** — Nie zapominajmy przy tym, że autostrady przyśpieszą uporządkowanie wewnętrznej komunikacji w mieście. Także do bardziej racjonalnego rozplanowania osiedli i dzielnic przemysłowych. Są zatem bezsprzecznie czynnikiem dynamizującym rozwój miasta.

**ODGŁOSY: — O racjonalnym planowaniu dzielnic mieszkaniowych i przemysłowych nie można mówić odrywając sprawy Łodzi od spraw wielkiej aglomeracji.**

**J. SADOWSKI:** — Słusznie. W takim układzie można nowe dzielnice projektować nie tam, gdzie jest wolny teren, ale tam, gdzie właściwie można rozwinąć układ komunikacji, wykorzystać uzbrojenie terenu i walory środowiskowe. Nie bez znaczenia jest tu sprawa gruntów ogrodniczych, występujących w obrębie wielkiej aglomeracji miejskiej, które trzeba właściwie wykorzystywać.

**ODGŁOSY: — Wydaje się, że do tej pory dzielnice przemysłowe były raczej dziełem przypadku, niż racjonalnego planowania.**

**K. KRASSOWSKI:** — Generalne koncepcje dzielnic przemysłowych były i są słuszne, jednakże w trakcie realizacji występowało za dużo żywiołowych odkształceń. Doskonaląc metodę koordynacji inwestycji będziemy mogli udoskonalać również koncepcję dzielnic przemysłowych i realizować je już bez odchyleń. W przyszłości będziemy porządkować niektóre zagadnienia, mając na względzie na przykład konieczność budowania wspólnych magazynów, będziemy uwzględniać zróżnicowane potrzeby transportowe oraz uzbrojenie terenu. W przyszłej dzielnicy przemysłowej „Brzezińska" zostaną skoncentrowane fabryki posługujące się transportem drogowym. Natomiast na Radogoszczu, gdzie mamy nikły stopień uzbrojenia, będzie się lokalizować przede wszystkim drobne zakłady spółdzielcze, przemysłu terenowego i bazy transportu.

**J. SADOWSKI:** — Zastanawiam się, czy dobrze robimy, zgadzając się na odtwarzanie w różnych miejscach małych zakładów. Moim zdaniem zakłady produkcyjne spółdzielczości i przemysłu terenowego trzeba blokować w takich układach przestrzennych, które umożliwią w przyszłości koncentrację produkcji.

**ODGŁOSY: — A przecież niedawno Śródmieście wystąpiło z koncepcją wybudowania w dzielnicy kilku zakładów odzieżowych.**

**J. SADOWSKI:** — Śródmieście chce skupić w dzielnicy przede wszystkim zakłady mało uciążliwe dla otoczenia, a jednocześnie zapewniające pracę mieszkańcom tego rejonu miasta. W tym przypadku można się z taką koncepcją zgodzić.

**K. KRASSOWSKI:** — Nie widzę przeszkód, aby tego typu zakłady powstawały nawet w dużych osiedlach mieszkaniowych. Trzeba jednak nauczyć się budować zakłady przemysłowe w górę, a nie wszerz. Tereny w obrębie miasta stają się coraz bardziej cenne. I należy je oszczędzać.

**J. SADOWSKI:** — I to nie na osiedlach mieszkaniowych, ale właśnie przy budowie zakładów produkcyjnych.

**ODGŁOSY: — Do tej pory mówiliśmy o lokalizacji przyszłych zakładów przemysłowych, a jeszcze nic o gospodarce Łodzi lat osiemdziesiątych.**

**K. KRASSOWSKI:** — Będzie to Łódź nowoczesnego przemysłu. W tym pięcioleciu odrobimy część opóźnień i zaniedbań, jakie nawarstwiały się latami. Odtwarzane fabryki nie są już tymi samymi. Właściwie budujemy przemysł włókienniczy od nowa.

**ODGŁOSY: — Wiele mówiło się o konieczności rozwijania przemysłu maszynowego i elektrotechnicznego, dążąc do zmiany struktury przemysłowej Łodzi.**

**K. KRASSOWSKI:** — Te gałęzie przemysłu będą przede wszystkim rozwijane w przyszłych pięcioleciach, coraz więcej znacząc w ogólnej wartości łódzkiej produkcji. Równoległa rozbudowa nowoczesnego włókiennictwa wynika z istniejącej w Łodzi tradycji i właściwego wykorzystania olbrzymiego doświadczenia kadry technicznej i robotników.

**J. SADOWSKI:** — Nie zapominajmy, że w Łodzi mamy również placówki naukowe tego przemysłu.

**K. KRASSOWSKI:** — Właściwe wykorzystanie badań naukowych, np. dla rozwijania dziewiarstwa i konfekcji, szersze stosowanie włókien chemicznych, nowe technologie — wszystko to gwarantuje postęp techniczny, zmusza do podnoszenia kwalifikacji, w wyniku czego na rynek dostarczane będą coraz nowocześniejsze i atrakcyjniejsze wyroby.

**J. SADOWSKI:** — W wielkich aglomeracjach — jak wykazują doświadczenia — szansę rozwoju ma szczególnie ten przemysł, który daje gotowy produkt. I dlatego zależy nam, aby w Łodzi nie tylko wytwarzać półprodukty, ale i produkować gotowe wyroby.

**ODGŁOSY: — W tej chwili trwa dyskusja, czy w Łodzi będzie się rozwijał przemysł maszyn włókienniczych. Czy nie byłoby celowe, aby powstała tu też fabryka maszyn dziewiarskich?**

**K. KRASSOWSKI:** — Jeśli mamy mówić o Łodzi lat osiemdziesiątych, to taki przemysł powinien tu istnieć również jako specjalność Łodzi w międzynarodowym podziale pracy.

**ODGŁOSY: — A przemysł bawełniany?**

**K. KRASSOWSKI:** — Sądzę, że to już nie będzie tradycyjny przemysł bawełniany. Jego nowe zakłady znajdą się w nowych dzielnicach przemysłowych.

**ODGŁOSY: — Przenoszenie fabryk do dzielnic przemysłowych spowoduje znaczne obciążenie komunikacji. Już w tej chwili mieszkańcy Dąbrowy jeżdżą do pracy na Teofilów i odwrotnie.**

**J. SADOWSKI:** — Sprawa jest prosta. Przy obecnych trudnościach ludzie biorą mieszkania tam, gdzie im się przydziela. W przyszłości będzie się zamieniać mieszkania. Każdy będzie dążył do tego, aby mieszkać blisko miejsca pracy.

**ODGŁOSY: — Kiedy to nastąpi?**

**J. SADOWSKI:** — Zakładamy, że w 1975 roku na jedną izbę będzie przypadało 1,14 statystycznego łodzianina, a pod koniec następnej pięciolatki — jeden mieszkaniec na jedną izbę. I myślę, że właśnie wtedy problem zamiany mieszkań w skali masowej stanie się aktualny.

**ODGŁOSY: — To brzmi nawet obiecująco: jeden łodzianin na jedną izbę. Ale jaka to będzie izba?**

**J. SADOWSKI:** — Tendencja jest jednoznaczna: wzrost powierzchni.

**K. KRASSOWSKI:** — Pod koniec bieżącej pięciolatki nie będziemy już budowali metodami ŁSM i „Dąbrowa-64". Co w zamian? Nowe technologie, które dadzą lepsze rozwiązania. W tej chwili już wprowadzamy metody, które dają większą powierzchnię kuchni, łazienek i przedpokojów. Następna zmiana normatywu przyniesie dalsze zwiększenie powierzchni pokojów.

**J. SADOWSKI:** — W związku z tym widzę „nowy" problem, z którym będziemy mieli do czynienia w latach osiemdziesiątych. Do większych mieszkań przeniosą się przede wszystkim liczne rodziny. Małe mieszkania zajmą ludzie samotni, albo bezdzietne małżeństwa. Powstaną więc osiedla o specyficznej strukturze mieszkańców, na przykład dzisiejszy Żubardź, Wielkopolska, Teofilów.

**ODGŁOSY: — Te osiedla będą też chyba wymagały specjalnego wyposażenia, a przede wszystkim takich usług, które są przeznaczone dla ludzi samotnych. Do tej pory umiemy już szybko budować nowe domy, a ciągle jeszcze spóźniamy się z budową sklepów, warsztatów rzemieślniczych, ośrodków zdrowia, żłobków i przedszkoli.**

**J. SADOWSKI:** — Przyczyna tego tkwi w tradycyjnych metodach budowania pawilonów usługowych. W projekcie nowego osiedla jest wszystko, czego potrzeba jego mieszkańcom. Kłopoty występują przy realizacji projektu. Próbowaliśmy na Teofilowie-„C" budować punkty usługowe w blokach, ale konstrukcja budynków wielkopłytowych nie znosi „ażuru" w parterze. W tej sytuacji dla mnie jest oczywiste, że musimy uprzemysłowić również budownictwo pawilonów handlowych i usługowych. Jestem pewny, że już niedługo będziemy mieli w Łodzi „fabrykę" wytwarzającą prefabrykaty dla tego typu budownictwa.

**ODGŁOSY: — Dobre osiedle to — według mnie — osiedle, w którym są nie tylko dobre mieszkania, ale funkcjonalna sieć usług, garaże, parkingi i zieleń.**

**K. KRASSOWSKI:** — Aby to osiągnąć, trzeba odrzucić pogląd, że usługi i zieleń mają tylko zdobić osiedle. Już teraz trzeba dążyć do tego, aby osiedle mieszkaniowe było podstawowym miejscem codziennego wypoczynku człowieka. A więc zieleń to już nie tylko skwery i trawniki. Jeśli zespoły usług, to te, które przede wszystkim mają ułatwiać codzienne życie i stwarzać więcej czasu na wypoczynek.

**ODGŁOSY: — Rozumiem, że osiedla przyszłości będą gwarantować wypoczynek po pracy i w dni wolne. Ale, gdzie łodzianie będą mieli miejsca na „duży oddech"?**

**K. KRASSOWSKI:** — Wiadomo będzie „Zdrowie", ale to nie wszystko. W Parku Kultury i Wypoczynku, pomyślanym już jako miejsce rekreacji dla całej aglomeracji miejskiej, będzie mogło przebywać około 100 tysięcy osób.

**ODGŁOSY: — Brzmi to przerażająco. Co to za odpoczynek wśród 100 tysięcy osób?**

**K. KRASSOWSKI:** — Każdy będzie miał do wyboru różne rozrywki na obszarze czterokrotnie większym od obecnego „Zdrowia", o powierzchni 600 ha. Dla tych, którzy będą pragnęli ciszy i odprężenia, przewidujemy zrealizowanie z początkiem lat osiemdziesiątych wielkiego kompleksu terenów wypoczynkowych, z dużymi zbiornikami wodnymi nad oczyszczonym Nerem od Rzgowa po Konstantynów oraz najmniej „ucywilizowany" kompleks lasów łagiewnickich z Arturówkiem.

**ODGŁOSY: — Nasza rozmowa byłaby niepełna, gdybym nie zapytała, jak w latach osiemdziesiątych będzie wyglądała ulica Piotrkowska.**

**J. SADOWSKI:** — Będzie taka sama, a jednocześnie inna.

**K. KRASSOWSKI:** — To niebezpieczne sformułowanie — zaraz posypią się protesty. Więc wyjaśnijmy sobie, że zachowamy i będziemy konserwować to wszystko, co stanowi wartość architektoniczną.

**J. SADOWSKI:** — W najbliższych dziesięciu latach zmodernizuje się wszystkie wartościowe domy. Zacznie wyburzać się stare oficyny. Na Piotrkowskiej nie będzie ruchu kołowego. W miejsce wyburzonych oficyn powstaną parkingi, zieleń...

**K. KRASSOWSKI:** — ...w pasażach przy ulicy Piotrkowskiej będą kawiarnie z ogródkami, zakłady usługowe, kluby, restauracje.

**ODGŁOSY: — I taka ulica Piotrkowska będzie wreszcie wizytówką nowoczesnego centrum i nowoczesnej Łodzi. A jednocześnie niebagatelną atrakcją turystyczną.**

◆ ⊡ ◆

K. Krassowski i J. Sadowski odpowiedzieli na szereg pytań i wyjaśnili wiele wątpliwości, jakie nurtują nie tylko dorosłych mieszkańców Łodzi, ale i również młode pokolenie łodzian. Ale sporo jeszcze spraw zostało do omówienia i dyskusji, bo i przyszłość Łodzi lat osiemdziesiątych dopiero jeszcze spraw zostało do omówienia od tego, jak — pamiętając, że budujemy Łódź nie tylko dla siebie — będziemy doskonalić swój sposób myślenia i styl pracy.

Rozmawiała: **BOGDA MADEJ**

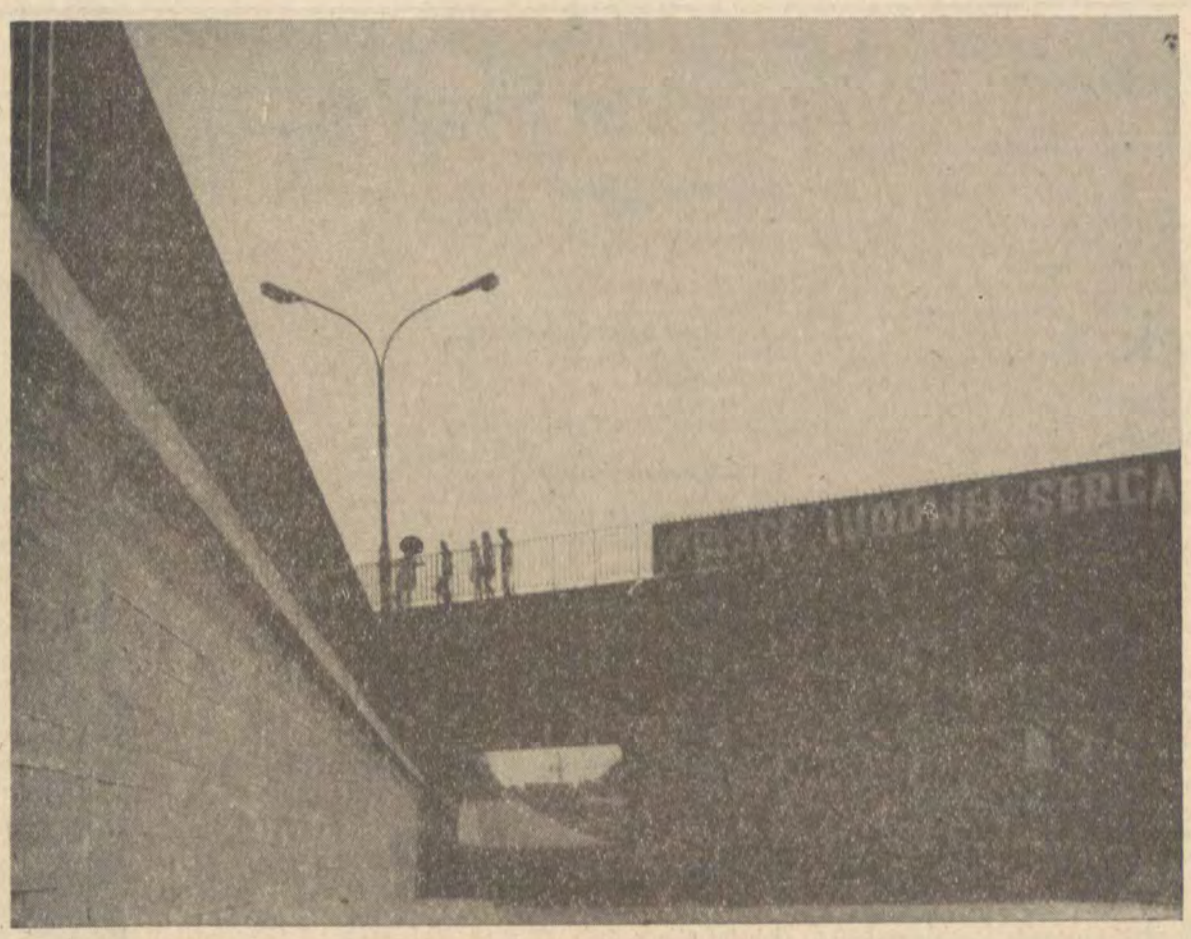

*Fot. W. Parys*

# Łódź w ich oczach

**Wszyscy jesteśmy wychowawcami — prawda to znana od dawna. Wychowawczy sens ma każde nasze działanie, każdy nasz postępek. Nie żyjemy przecież tylko w świecie dorosłych. Uważnie i czujnie patrzą na nas oczy dzieci. Patrzą, aby się uczyć, aby naśladować. Szukają wzorów. I my — ludzie dorośli — musimy im ich dostarczać.**

**Nie wolno nam też zapomnieć, że ogromny sens wychowawczy ma program rozwoju i modernizacji Łodzi, bo zawiera się w nim przyszłość miasta. Aby ta przyszłość stała się rzeczywistością, a jest to przecież praca nie na jedną pięciolatkę, trzeba zainteresować nią również młodych — przyszłych, równoprawnych obywateli miasta. Co wiedzą o tym programie? Jak nas widzą, naszą pracę, nasze wysiłki i zamierzenia? Co myślą? Czy w zarysowującym się obrazie przyszłej, nowoczesnej Łodzi starają się znaleźć miejsce dla siebie?**

Z okazji Dnia Dziecka zaprosiliśmy do redakcji uczniów siódmych klas kilku łódzkich szkół podstawowych: SYLWIĘ GOWOREK ze Szkoły nr 101, ELZBIETĘ PŁÓCIENNIK ze Szkoły nr 174, JOANNĘ ORZECHOWSKĄ ze Szkoły nr 104, KRZYSZTOFA STADNICKIEGO ze Szkoły nr 173 oraz TOMASZA OLEJNICZAKA i PIOTRA WOŹNIAKA ze Szkoły nr 150.

W trakcie rozmowy okazało się, że mają wiele do powiedzenia na temat teraźniejszości i przyszłości Łodzi. Oddajmy zatem im głos.

### OPINIE CZTERNASTOLATKÓW

Od dawna wiadomo, że dzieci w swoich sądach są bezkompromisowe, surowe, a nawet okrutne. I coś z tej prawdy znalazło się w opiniach czternastolatków o naszej codziennej pracy.

PIOTR: — W czwartej klasie opisywałem budowę Domu Handlowego z rogu Piotrkowskiej i Mickiewicza. Potem budowę „bunkra" opisywałem w szóstej klasie. Co się będzie w tym domu sprzedawać, będę mógł opisać dopiero w klasie ósmej. Takie powolne budowanie pomaga uczniom w pisaniu wypracowań.

KRZYSZTOF: — Latem, w niedzielę, jeździmy z rodzicami w stronę Koluszek. Jak długo sięgam pamięcią wstecz, to zawsze pamiętam Dworzec Fabryczny obstawiony drabinami.

TOMASZ: — W moim domu jest piekarnia i wszyscy budzimy się już o czwartej rano, bo taki jest hałas. Czy nie można zrobić na przykład dużego kombinatu piekarniczego, gdzieś poza śródmieściem? Uważam, że w centrum Łodzi powinny być rozrywka i handel, a u nas do centrum bardziej podobne są osiedla, niż Piotrkowska.

SYLWIA: — Ja się zastanawiam, co by pomyślał sobie cudzoziemiec, przejeżdżający trasą „E-16", który obejrzałby najpierw rudery przy ul. Limanowskiego, a później nowe bloki na Teofilowie.

ELŻBIETA: — Nasze miasto wieczorem też nie jest zbyt ładne. Mamy wprawdzie trochę neonów na ul. Piotrkowskiej, ale już na sąsiednich ulicach nie tylko nie ma neonów, nie ma również za dużo latarni.

Dzieci, jak się okazuje, są wnikliwymi obserwatorami. Patrzą nie tylko uważnie na to, co dzieje się na ulicy, czy w domu, w którym mieszkają. Dowiadują się też o tym, co dzieje się w miejscu pracy ich rodziców i wyciągają z tego pewne wnioski.

ELŻBIETA: — Mój tata pracuje w transporcie, rozwozi ziemniaki. Jest to praca brudna. Najgorsze jest to, że tata nie tylko nie ma się gdzie umyć po pracy, ale i z szafkami na ubranie jest nie najlepiej.

Zapytałam moich młodych rozmówców, czy chcieliby w przyszłości pracować w przemyśle. Zgodnym chórem powiedzieli, że nie. Chyba, że...

KRZYSZTOF: — Chyba, że fabryki będą zupełnie inne, niż te dzisiejsze. Nowe fabryki powinno się budować z dużymi halami, czyste, widne, z dobrą wentylacją i nowoczesnymi automatycznymi maszynami.

PIOTR: — Teraz do pracy w przemyśle idzie się z konieczności, a powinno się iść dlatego, że taki zawód się świadomie wybrało. Wszyscy chcemy skończyć wyższe studia, po których wielu z nas trafi do przemysłu i ta praca powinna nam dawać zadowolenie.

### GDZIE SIĘ BAWIĆ?

Dorośli pytają: w co się bawić? Dzieci wiedzą, w co się bawić, ale mają inny problem.

TOMASZ: — Chyba też będę miał dzieci i chciałbym, aby miały się gdzie bawić i odpoczywać. Na nowych osiedlach powinny być budowane hale sportowe i boiska. Ja sam wprawdzie w piłkę nie gram, ale wiem, że moi koledzy z ul. Wólczańskiej jeżdżą grać w piłkę aż na Zdrowie.

ELŻBIETA: — Dorośli mają pretensje do nas, że depczemy trawniki i mażemy po murach. Nie powinniśmy tego robić, ale to nie tylko nasza wina. Gdzie się mamy bawić? U nas, na Dąbrowie, małe dzieci bawią się albo na jezdniach, albo w piaskownicy, która sąsiaduje z trzepakiem i odkrytym śmietnikiem. A czy nie można tego śmietnika obsadzić krzakami?

PIOTR: — Jest w parku Poniatowskiego miasteczko ruchu drogowego. Jeszcze dwa lata temu można tam było pożyczyć rower do pojeżdżenia. Teraz też można, ale najpierw trzeba wykupić legitymację TPD. Pojechałem tam w tym roku, chciałem nawet wykupić tę legitymację, ale tam nie można tego zrobić. Gdzie ją mam kupić? I pewnie w tym roku nie będę jeździł w miasteczku na rowerze.

KRZYSZTOF: Albo baseny. Moja szkoła ma basen wspólnie z „Trójką". W czwartej klasie chodziłem na basen. A teraz, żeby popływać, to trzeba mieć bardzo dobre wyniki w pływaniu i należeć do jakiegoś klubu.

SYLWIA: — Mnie się udało dostać na ten basen, ale wyznaczono mi do pływania godzinę 22.30.

JOANNA: — W Łodzi nie tylko niewiele jest miejsc, gdzie w niedzielę można pojechać odpocząć, ale nie bardzo jest jak się tam dostać. W tłoku najbardziej się depcze po dzieciach.

ELŻBIETA: — Słyszeliśmy, że będzie wielki park wypoczynku na Zdrowiu. Ale czy jedno Zdrowie wystarczy dla całego miasta?

PIOTR: — Zależy jak to wszystko będzie zorganizowane. „Głos Robotniczy" robi raz w roku fajny festyn na Zdrowiu. Ale raz w roku to za mało. Inni nie mogą tego też robić? Tylko powinni pamiętać, że ludziom się chce pić. Mnie interesowała estrada młodych talentów, ale w pobliżu nie było żadnego kiosku. Zostawiłem talenty i poszedłem szukać wody do picia. Kiedy znalazłem kiosk, to był już oblężony przez ludzi wysiadających z tramwaju.

### A U MOJEJ BABCI...

Zapytałam dzieci, jak chciałyby mieszkać w przyszłości. Odpowiedziały przede wszystkim, jakby nie chciały.

PIOTR: — A u mojej babci w blokach sąsiedzi wyjechali na urlop i zostawili syna. Przez cały miesiąc słuchał muzyki z magnetofonu. Babcię to strasznie denerwowało, bo babcia nie lubi głośnej muzyki, a dziadek ją pocieszał, że to tylko miesiąc.

TOMASZ: — To wcale nie wina chłopaka, bo jeden lubi słuchać głośnej muzyki, a drugi woli grać w szachy. Tylko ściany powinny być mniej akustyczne. Moja babcia mieszka na Kozinach i ja przez ostatnie lata zabawiałem się w ten sposób, że stawałem na balkonie i liczyłem traktory, przejeżdżające pod oknami. Babcię to denerwowało, ale przecież gdybym zamknął balkon, to i tak wszystko słychać.

PIOTR: — To i tak dobrze, że twoja babcia ma balkon. Ale ile jest takich bloków bez balkonów? Jeden blok się buduje z balkonami, a drugi obok bez — dlaczego?

ELŻBIETA: — Ja się zastanawiam, dlaczego wszystkie bloki w osiedlu maluje się jednym kolorem? U nas, na Dąbrowie odświeżali ostatnio domy i wszystkie pomalowali na szaroniebieski, ponury kolor. Przecież nie kosztowałoby drożej, gdyby pomalowano bloki na różne wesołe kolory.

PIOTR: — U mojej babci też malowali. Wszyscy lokatorzy dawali malarzom pieniądze, żeby im szybciej i lepiej pomalowali. Tylko jeden lokator z parteru się wylamał i pieniędzy nie dał. To mu pomalowali na samym końcu. Cały blok był już kolorowy, a ta część, gdzie jest jego mieszkanie, jeszcze przez długi czas za karę była nie pomalowana.

SYLWIA: — Tak postępują nie tylko malarze. Do nas przez dwa dni przychodził hydraulik. Mama częstowała go śniadaniem i obiadem. Po dwóch dniach założył uszczelkę, a kran cieknie dalej.

JOANNA: — Ja bym chciała dostać takie mieszkanie, w którym już nic nie trzeba byłoby poprawiać i które można byłoby tak urządzić, jak będę chciała. Bo teraz widziałam w „Domusie" młode małżeństwa, które oglądają meble z karteczką i centymetrem w ręku. Dlaczego oni muszą mierzyć te meble, skoro są one przeznaczone do obecnie budowanych mieszkań?

### LOTNISKO DLA WNUKÓW

SYLWIA: Ja myślę, że w Łodzi najbardziej przydałoby się metro. Moja nauczycielka mieszka na Dąbrowie. Wstaje o piątej rano, jedzie po swoją mamę, przywozi ją do małego dziecka i o wpół do siódmej jedzie do szkoły na Bałuty. A lotnisko? Lotnisko niech już mają moje wnuki.

Zapytałam na koniec swoich młodych rozmówców, co — według nich — trzeba najszybciej w Łodzi zmienić.

JOANNA: — Bardziej rozwinąć usługi i komunikację. Na Piotrkowskiej niech będą zabytki i wieżowce.

SYLWIA: — Łódź powinna być miastem europejskim. Trzeba przebudować śródmieście, zlikwidować wąskie ulice, zbudować nowoczesne zakłady pracy.

PIOTR: Lepiej budować.

TOMASZ: — Potrzebne są pawilony z usługami samochodowymi i informacją o mieście dla turystów i więcej garaży.

KRZYSZTOF: — Więcej kin, teatrów, basenów, boisk i miejsc wypoczynku.

ELŻBIETA: — Ja się zgadzam z moimi kolegami. Ale uważam, że to i od nas będzie zależało, czy te wszystkie sprawy i projekty będą w przyszłości właściwie zrealizowane.

**Notowała: BOGDA MADEJ**

*Uczestnicy naszej dyskusji — od lewej: Krzysztof Stadnicki, Tomasz Olejniczak, Piotr Woźniak, Elżbieta Płóciennik, Sylwia Goworek i Joanna Orzechowska.*

*Fot. J. Głowacki*

JAN HUSZCZA

## Świronek

Przedsennie. Nim nadejdzie sen,
jeszcze skoszona wraca łąka.
Kosa ostatnią strąca skrę
pod strzechą, na mostku świronka.

Tutaj posłanie. Zanim chłód
siwy do domu mnie przegoni —
wieczory mają tyle nut,
a świat maleńki jak na dłoni.

Jeszcze przedsennie. Złoty ślad,
to spadła gwiazda, ale czyja?
Tu spokój. Jeszcze kilka lat,
nim wkradnie się podejrzeń żmija.

W świronku zboże, miód i len.
Jeśli uwikłać się — w paczesi,
w jej lnianej ciszy lniany sen.
A jeśli zbłądzić, tylko w lesie.

W przededniu jakichkolwiek trosk,
co nawet tutaj się przemycą,
nieśmiało, ledwie pachnie wosk,
lecz nie jedliną i gromnicą.

W doświtku świergot, pełno drżeń.
Ciemność jest jeszcze grząskim ilem.
Nie budźcie mnie, choć wstanie dzień
— sam dawno temu się zbudziłem!

★ ★ ★

Gwiazda,
gdy przerażona,
spada...
Drzewo,
gdy porażone,
schnie...
Człowiek,
gdy wędrowaniem zmęczony,
stuka do cudzych drzwi.
Czasem się otwierają.

## Zapisek z Sieradza

O Sieradzu by zdania,
w których strzały tatarskiej świst,
miecza krzyżackiego błysk

Od kolegiaty
blisko
do kościoła podominikańskiego,
ale i daleko
jak od gotyku
do baroku
choć takie same lipy i kasztany

We frontonie kolegiaty
czernieją,
ocalone z pożogi stuleci,
odrzwia zamku
orzeł piastowski
za skrzydła trzymany
przez lwa i gryfa
Orzeł
wielmożów
mieszczan
chłopów

Speszone,
spóźnione
Sukiennicza,
Zamkowa,
Szewska,
Podrzecze
dziś ubogie krewne nowych ulic

Sobotni pijacy,
zataczając się przez kraj,
zawadzają i o Sieradz

Ale oto słoneczka słoneczników
w zielonych chmurach ogrodów
Sieradz zakładów S i r a
Sieradz w wieńcu z róż

Wicher
jakby sposobił drzewa do odlotu
stroszą się tysiącem skrzydeł

Czego nie odszukać w zdaniach,
czego nie ma na obrazach,
czego nie ma w muzeum
niech Warta opowiada
niech Żeglina jej pomaga
one najwięcej widziały
komysze i łozy
łachy piaszczyste
rybitwy

Tylko zechciejcie słuchać
tylko umiejcie słuchać

12—15. VII. 1969

(Z tomu „Podróż sentymentalna", który ukaże się nakł. Wyd. „Pojezierze").

*Ludowa sztuka sieradzka*

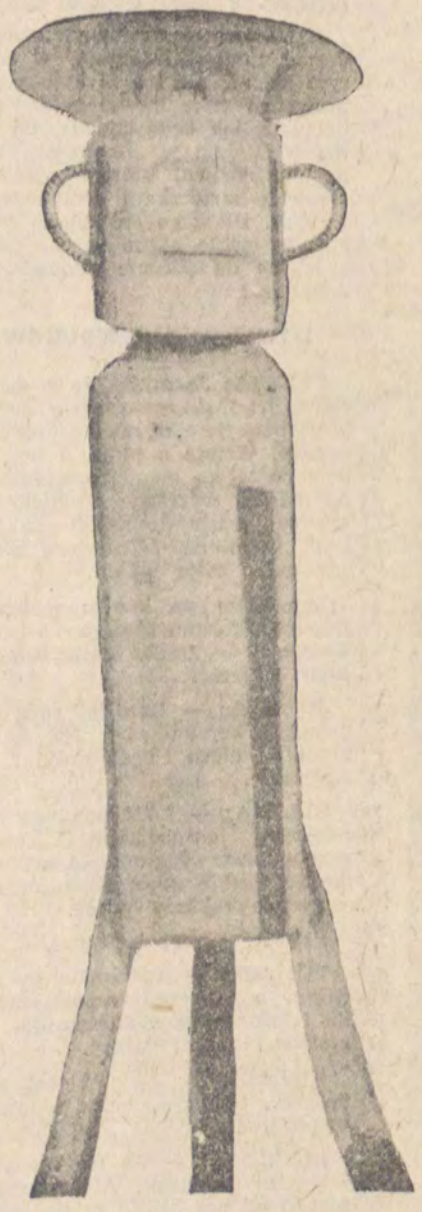

*Ludowa sztuka sieradzka*

EUGENIUSZ IWANICKI

# Miniatury

## Piękne oczy

Szedł ostrożnie, stukając białą laską w chodnik. Przechodnie usuwali się z drogi litując się nad jego przedwczesnym kalectwem. W przeciwieństwie do ślepców nie nosił ciemnych okularów: jego oczy były szeroko otwarte, jasne. Był młody, wysoki, nienagannie ubrany. Nieruchome piękno twarzy zwracało powszechną uwagę. Młodziutka harcerka pomogła mu przejść przez jezdnię. Podziękował smutnym uśmiechem patrząc w odległy pejzaż ulicy.

Mijające go kobiety z niepokojem zaglądały mu w twarz i wzdychały: „Jakież piękne oczy ma ten człowiek!".

## Orzeł

Przez wiele lat trzymano go w złotej klatce. W gmachu, gdzie przebywał ze względu na służbowy przydział, nigdy nie otwierano okien: wiadomo — orzeł!

Siedział więc bardzo wysoko z pogardą zerkając na dół, gdzie kotłował się tłum bezskrzydłych płazów. „Pięknie jest mieć władzę! — marzył. — Ale w końcu nie każdy rodzi się ze skrzydłami".

Podwładnych traktował surowo, nikogo nie dopuszczał blisko, nie spoufalał się. Wystarczyło, że był, że trwał na stanowisku, że nieustannie dawał odczuć swoją obecność i wszechwładzę. Był potęgą.

Aż którejś wiosny nadciągnęły wyjątkowo silne burze. Wichura wyrwała okna z futrynami, zgniotła złotą klatkę.

Ludzi ogarnęła panika.

Lecz stała się rzecz nieoczekiwana: z okna nikt nie wyleciał!

Kilku śmiałków pokonując strach wdrapało się na najwyższe piętro i tam, wśród stosów papieru, rozrzuconych akt, poprzewracanych foteli znaleźli zwyczajną domową kurę usiłującą nieudolnie naśladować krzyk orła.

## Globtroter

Kiedy wyszedł za opłotki, stało się oczywiste, że podróż będzie długa. Kto żyw wypadł przed chatę, aby uczestniczyć w tej niezwykłej wędrówce. Było przecież wiadomo, że kto jak kto, ale on na pewno kiedyś wyruszy ku słońcu wschodzącemu na horyzoncie. „Ten to ma fantazję — mówiono. — Ani chybi jak świat obiegnie w kółko".

Bliżej południa zauważono na jego twarzy pierwsze oznaki zmęczenia. Bolesny grymas wykrzywił usta i oddech stał się jakiś krótszy. Oj, niedobrze, myślano, jak tak dalej będzie szedł w tym upale to wszystko się może przytrafić.

Ale nie znano go jeszcze, nie był z tych co to poddają się przy lada przeszkodzie. Trwał w swoim fantastycznym marszu, wyrzucał nogi wysoko, machał rękami. Szedł. Może nie tak szybko jak rano, nie tak pewnie, ale przecież ciągle szedł.

Dopiero wieczorem uległ zmęczeniu. Zwalił się pod płotem i płakał rozmazując łzy na zakurzonej twarzy.

— Zmogły mnie te ślucne tworzywa — jęczał. — Buty nowe, psia jucha, chciałem rozchodzić.

## Kanał

Zapadła decyzja o budowie kanału. Podkreślano, że wreszcie otworzymy drogę w szeroki świat, że od dawna na świecie kanały są wyrazem rozwoju myśli technicznej, że na Zachodzie kanał stał się rzeczą codziennego użytku, że u nas na jednego mieszkańca ciągle jeszcze przypada 0,001579 metrów kanału, a na jeden kanał przypada aż 8.786.234 osoby itd. itd.

Więc zaczęto budowę. Dzień i noc warczały buldożery i koparki, wywrotki niby ogromne gorące pszczoły uwijały się wzdłuż jego brunatno-czarnych brzegów. Z milionów metrów sześciennych ziemi usypano sporą górę zmieniając równinny krajobraz na Himalaje. Niby nie wielka rzecz taka górka, a jednak...

W Radzie Narodowej nieustannie obradowało Honorowe Obywatelskie Towarzystwo Budowy Kanału nie mogąc uzgodnić ostatecznego projektu herbu miasta. Dotychczasowy herb stał się nagle nieaktualny: topór i głowy byka nie pasowały do powstającego kanału i rosnącej z godziny na godzinę góry.

W końcu prace zostały zakończone. Na uroczyste otwarcie kanału wydano półtora miliona złotych, a drugie tyle na nagrody dla jego budowniczych. Przez dwa tygodnie trwał uroczysty festyn. Sprowadzono najlepsze orkiestry strażackie i kolejarskie z całego kraju. Były to historyczne, wielkie dni małego miasta.

A kanał prezentował się wspaniale: zaczynał się w puszczy brzezińskiej i okalając miasto kończył się na wydmach piaszczystych pobliskiego Pożarowa.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

# Balkon świętego Rafaela

Korespondencja z Algierii

Człowieka tego spotkałem po raz pierwszy w małej, francuskiej, ukrytej na półpiętrze domu przy ulicy Koguta restauracji, gdzie obok Arabów stołowali się również polscy turyści.

Pamiętam moment, kiedy wyrósł w drzwiach, rozgarniając rękami utkane z paciorków zasłony. Zwalisty, ogromny, mokry od szalejącego w mieście upału i z lekka zasapany od tej krótkiej wędrówki po schodach — wpatrywał się czujnie w twarze siedzących przy stolikach ludzi i łowił odgłosy sali, w której hałaśliwy humor Europejczyków wbijał się klinem w posępne algierskie milczenie.

Podszedł wreszcie do kelnera włóczącego po ziemi poły luźnych szarawarów i przerzucił z nim parę słów. Wyglądało to na kłótnię. Zniecierpliwiony kelner ocierał skrajem fartucha ubabrane tłuszczem palce, a ten gość, wyrzucający z siebie w pośpiechu gardłowe, arabskie frazy, drapał się poprzez rozchełstaną koszulę w kosmate piersi, albo też podciągał w pasie płócienne, dość niechlujne spodnie, domagając się czegoś od kelnera w sposób stanowczy i groźny.

Byłaby chyba z tego jakaś większa draka. Kelnerowi przyskoczył w sukurs właściciel restauracji: drobny Francuzik o krzywych nogach i jaszczurczym spojrzeniu. Zaczął popychać intruza do wyjścia, podczas gdy ten oganiał się przed nim jak przed utrapioną muchą. Ale wtedy jeden z pochylonych obok mnie nad talerzem Polaków, któremu słońce i wino pomieszały trochę w głowie (powtarzał jak zepsuta płyta: „Marzę o kartoflach z zsiadłym mlekiem! Marzę o kartoflach z siadłym mlekiem!) przecknął się nagle i rozpoznał w tym ogromnym, zwalistym mężczyźnie naszego rodaka.

— To Piotrowski! — krzyknął. — Hej, chodź pan tutaj!

Piotrowski, owszem, skorzystał z zaproszenia. Wkomponował się do stolika na piątego. Niebawem zabrał się do jedzenia, ogryzając baranie kości, drobiąc zgrabnie chleb rękami, wyłuskując z talerza oliwki, a z półmiska ociekające zamrożoną wodą winogrona. Niekiedy, żując ostro pełnymi ustami, roztaczał barwne opowieści o dziwach tego kraju i dziwach tej pięknej, białej metropolii: Algieru, który wydawał się znać tak dobrze, jak każdy z nas swoje rodzinne miasto.

Próbowałem wyciągnąć go na bardziej osobiste zwierzenia. Ale miałem licznych konkurentów. Wszyscy do niego strzelali. Wędrował od stolika do stolika, napychając się jak smok na koszt rozkochanych w nim od pierwszego wejrzenia turystów.

I tak już było przez cały, spędzony przeze mnie w Algierze czas. Śniadania, obiady, kolacje upływały pod znakiem Piotrowskiego, lawirującego sprytnie pomiędzy tymi, co zapewniali mu najlepszą fetę, omijającego tych, co wyglądali ubogo... Rozchodziły się o nim coraz ciekawsze, wręcz sensacyjne wieści, których jednakże, mimo najszczerszych chęci, nie byłem w stanie sprawdzić aż do chwili, kiedy to pewnego pięknego dnia nie znalazłem się dzięki uprzejmości naszych algierskich przyjaciół na tak zwanym Balkonie Świętego Rafaela — wzgórzu, z którego można ogarnąć oczami całe to przepyszne, gorejące w słońcu miasto.

Piotrowskiego i towarzyszących mu turystów opadły znienacka algierskie dzieciaki, napraszając się o pieniądze i papierosy. Ponieważ i ja znalazłem się w ogniu tych ataków, wyjąłem nieopatrznie z kieszeni paczkę „Afrasów" i poczęstowałem mocnymi cygaretami dwóch czternastoletnich brzdąców, co momentalnie ściągnęło na mnie gniew pewnej pani.

— Pan! — wrzeszczała — Dziennikarz! Jak można tak demoralizować młodzież! To skandal! — Podpalała się coraz bardziej w swoim świętym oburzeniu. — Potem wypisujecie w gazetach, że zła jest opieka w domu i w szkole, a sami!... sami!...

Dyskusji nie podjąłem, choć było jasne, że każdy z tych nastoletnich szczeniaków wie o życiu dużo więcej, niż ta kobieta. Mieszkali w pobliskich slumsach przy muzułmańskim cmentarzu, budząc się każdego ranka w domach z blaszanych puszek, pośród rdzy, wilgoci, upału i nędzy, która poznaczyła ich twarze piętnem udręki, która zamieniła te twarze w mapę bólu, głodu, czającego się w oczach smutku, pomieszanej ze sprytem rezygnacji, źle maskowanej niechęci do każdego, komu los podarował lepsze życie i jeszcze gorzej odgrywanego uśmiechu, którym można sobie zjednać przypadkowych przechodniów. Cień drobnych nieprawości — dokonywanych na ulicznych targowiskach kradzieży, oszustw, których ofiarą padali ludzie zbyt bogaci, aby w ogóle mogli je zauważyć; nędzne namiastki sutenerstwa i prostytucji, nieukrywana pobudliwość na widok przyodzianych w szorty, kręcących tyłkami białych kobiet — wszystko to odbijało się w tych twarzach dokładnie i wyraźnie, jak na filmie podczas zbliżenia. Papieros nie zawsze jest dla takiego szczeniaka przedmiotem konsumpcji. On to nieraz zamieni na kawałek chleba, albo wręczy sprzedawcy owoców za plaster kawona. Ale nawet, jeśli sam wypali nabitego czarnym tytoniem gwoździa, w tych warunkach nie będzie to miało żadnego znaczenia, o czym jednak, jak wspomniałem, nie starałem się tej pani przekonać.

Usunąłem się w cień. I wówczas właśnie podszedł do mnie sam Piotrowski.

— Pan jest dziennikarzem?

— Podobno.

Uśmiechnął się lekko, pokazując, że jest mu przyjemnie.

— Niedawno u nas dużo się o Polsce pisało — powiedział, wpatrując się podejrzliwie w moje wyszmelcowane, podobne do jego własnych, spodnie.

— Jak się pisało?

— Różnie. Gazeciarze poczuli interes i robili sensację. — Usiadł na ławce pod palmą, wsparł na kolanach spocone dłonie. I po chwili: — Martwią pana arabskie dzieciaki?

— Zgadza się — potwierdziłem. — Gdybym po powrocie do Polski zobaczył tyle co u was młodocianych żebraków, musiałbym popełnić samobójstwo. A przecież nie zobaczę ani jednego.

— Tak jest w Polsce dobrze?

— Nieźle.

— No, wie pan... W Algierii kwestia dziecięca — szykował się najwyraźniej do przeprowadzenia jakiejś dłuższej, głębokiej analizy problemu, przerwałem mu jednak, gdyż dużo bardziej interesowały mnie w owej chwili jego własne przypadki. Zacząłem:

— Gdzie się pan urodził?

— A dlaczego pan pyta?

— Chcę zrobić o panu reportaż.

— O, bardzo proszę... W Warszawie na Złotej...

— Kiedy?

— W 1896.

— Nie wygląda pan na swoje lata.

— Bardzo pan miły — powiedział swoją czystą, klasyczną polszczyzną i zabrzmiało to szczerze. Rozpoczął opowieść, która szybko znudziła przysłuchujących się nam rodaków. Kiedy zostaliśmy sami, wyjąłem z tylnej kieszeni spodni notes, który leży w tej chwili przede mną na domowym łódzkim biurku. Czytam:

**„Dzieciństwo miałem ubogie i raczej zasmarkane. Podobnie jak te algierskie smyki, włóczyłem się całymi dniami po warszawskich ulicach, żeby zdobyć coś do jedzenia. Zimą bardzo marzłem bez palta, a moje buty były dziurawe jak sito. W tysiąc dziewięćset czternastym nie mogłem nigdzie znaleźć pracy i zaraz z początkiem wojny pojechałem do Niemiec na roboty w tartaku, gdzie odebrałem twardą szkołę życia. Za najdrobniejsze przewinienia bito mnie i torturowano przy słupie, pod który bardzo często trafiali Polacy. Nigdy nie zapomnę, jak ci silni, dużo starsi ode mnie niemieccy dozorcy wiązali mi ręce do tyłu i wieszali za nogi, głową w dół, na kilka godzin najgorszych męczarni. Chciałem umrzeć. Modliłem się o śmierć. Sam nie wiem, jak mogłem znieść to wszystko. Może trzymała mnie przy życiu nienawiść? Poprzysiągłem sobie podczas jednego z tych makabrycznych seansów, że jeśli uda mi się kiedykolwiek odzyskać wolność, będę walczył z Niemcami na śmierć i życie, aby wyrównać nasze wzajemne rachunki...".**

Uciekł na Śląsk.

Był w Legionach.

Jakiś czas walczył pod wodzą Hallera.

Później rozpoczął wędrówkę po świecie, pędząc żywot awanturniczy.

**„Chyba osiadłbym na stałe we Francji, gdzie pracowałem w znanym paryskim biurze handlowym jako komiwojażer, ale doznałem zawodu w miłości. Kobieta, z którą miałem się ożenić, uciekła mi do Brazylii z jakimś Murzynem. Wówczas postanowiłem poszukać zapomnienia w wojaczce i wstąpiłem do Legii Cudzoziemskiej".**

Najpierw bił się w Azji, ale już nie pamięta dobrze z kim i o co. Później przyszła kolej na Afrykę. Maroko, Libia, Tunezja... Na koniec, z chwilą, kiedy znudziły mu się żołnierskie przygody, zamieszkał w Algierii.

Pytałem:

— Jak długo jest pan poza krajem?

— Pięćdziesiąt lat.

— I co? Nie tęskni pan?

— Tęsknię.

— To dlaczego pan nie wraca?

W tym momencie Piotrowski zrobił się wściekły.

— Panie! — powiedział. — Pan myśli, że nie chciałem wrócić?! Miałem już opłaconą podróż i paszport w kieszeni, ale władze polskie odmówiły mi wizy.

— Kiedy to było?

— W trzydziestym drugim.

— A więc przed wojną?

— No, tak...

— To pan nie wie, że po wojnie zmieniły się władze?

— Wiem. Ale jak raz się człowiek sparzył...

— Czuje się pan obrażony?

— Oczywiście.

— Na kogo?

— Na władze.

— Przecież się zmieniły! Starał się pan o wizę po wojnie?

— Po wojnie to się jeszcze nie starałem.

— Dlaczego?

— Eee, wie pan: Jak się raz człowiek sparzy...

Mimo, że brałem poprawkę na jego podeszły wiek, zaczął mnie mocno irytować.

— Teraz by pan chyba wizę dostał.

— Tak pan sądzi?

— Jestem pewien.

— Cóż z tego. Mam już siedemdziesiąt pięć lat i przy takiej raptownej zmianie klimatu mógłbym się błyskawicznie wykończyć.

Był to silny argument, którego jednak nie mogłem zrozumieć. Zacząłem mu opowiadać o Polakach, którzy u schyłku życia wracali do ojczyzny z krajów równie gorących i nieporównanie bogatszych niż Algieria. Mówiłem o wielkich pisarzach i wybitnych naukowcach, a także o najrozmaitszych emerytowanych i czynnych businessmanach, nie bojących się zmiany klimatu i zmiany ustroju.

Piotrowski myślał o czymś intensywnie. Po chwili wprawił mnie w osłupienie.

— A co z moimi pieniędzmi? — zapytał.

— Z jakimi pieniędzmi?

— Z tymi, które dostałem w spadku po bracie. Wie pan, ile mi zostawił? Siedem milionów dolarów!

Znowu popatrzyłem na jego obstrzępione spodnie i rozchełstaną na piersiach koszulę.

— Gratuluję — powiedziałem.

— Dziękuję.

— Byłby pan najbogatszym człowiekiem w Polsce.

— Ale chyba straciłbym na wymianie?

— U nas nie sposób stracić na żadnej wymianie.

— Tak pan mówi?

— Aha. Właśnie tak.

— No, ale widzi pan... ten klimat... Wszystko dobrze, ale ten klimat...

Przedzieliło nas dręczące milczenie. Patrzyłem z Balkonu Święego Rafaela na białe, rozciągnięte wzdłuż wybrzeża miasto i choć był to jeden z piękniejszych widoków w moim życiu, przytłaczał mnie smutek.

Krótkie, powściągliwe pożegnanie.

Nigdy więcej z Piotrowskim nie rozmawiałem. A przecież, kiedy po kilkunastu dniach znowu znalazłem się w Algierze, spotykałem go każdego dnia w małej francuskiej restauracji przy ulicy Koguta. Brylował wśród polskich turystów — roztaczając barwne opowieści, w które jedni wierzyli, drudzy — nie. Jego spadek urósł w międzyczasie do dziesięciu milionów. Dom, który rzekomo zajmował w willowej dzielnicy Algieru, okazał się — wedle doniesień jakiegoś dociekliwego młodzieńca — mroczną norką o nie powleczonym łóżku w budynku przy brzydkiej ulicy. „On musi być niebywale biedny" — współczuli mu Polacy. A później przestali mu współczuć, bo któregoś wieczoru został przyuważony w wytwornym hotelu podczas płacenia słonego rachunku za nie mniej wytworną kolację.

— Ma on w końcu te pieniądze, czy nie ma?

Sam do dziś zadaję sobie to pytanie. Ale wiem z drugiej strony, że gdybym nawet znalazł właściwą odpowiedź i tak bym nie zgłębił tajemnicy tego człowieka. Nie kontaktował z rzeczywistością, żył w nierealnym, potasowanym świecie wspomnień, a obraz Polski, który wywiózł pół wieku temu z biednego kraju, odcisnął głębokie piętno na jego tragicznym istnieniu.

Nieszczęśliwa miłość? Legia Cudzoziemska? Milionowy spadek?

Były to chyba swobodne improwizacje na temat prawdy.

Tak czy owak nigdy nie zapomnę, że ten samotny, biednie ubrany starzec, przychodził dzień w dzień do knajpy przy ulicy Koguta, żeby poprzez polską mowę znaleźć sprawę z ojczyzną, do której nie wróci już nigdy.


1 TRIENNALE
TKANINY
PRZEMYSŁOWEJ
I UNIKATOWEJ
ŁÓDŹ — 1972

**PREZENTUJEMY UCZESTNIKÓW**

TERESA MUSZYŃSKA ukończyła Wydział Tkaniny Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, w roku 1964. W latach 1964—1966 zajmują ją prace nad gobelinami reliefowymi, które stanowią pierwszy krok na drodze do jej późniejszych, nowatorskich realizacji przestrzennych, które określiła mianem Chatafów.

Pierwsza wystawa indywidualna Muszyńskiej miała miejsce w Warszawie w 1966 roku, a w 1968 roku bierze ona udział w wystawie olimpijskiej w Meksyku. Rok później gobeliny Muszyńskiej oglądać można było na IV Biennale Tkaniny Artystycznej w Lozannie. W tym samym roku bierze ona udział w I Międzynarodowym Kongresie Tkaniny Artystycznej w Madrycie, na którym to Kongresie wygłasza referat o nowej formie tkaniny, nazywanej Chatafami. Referat ten zilustrowany był jej własnymi pracami.

Gobeliny Muszyńskiej pełne ekspresji i subtelnej barwy należą do najwybitniejszych przejawów współczesnej polskiej tkaniny artystycznej.

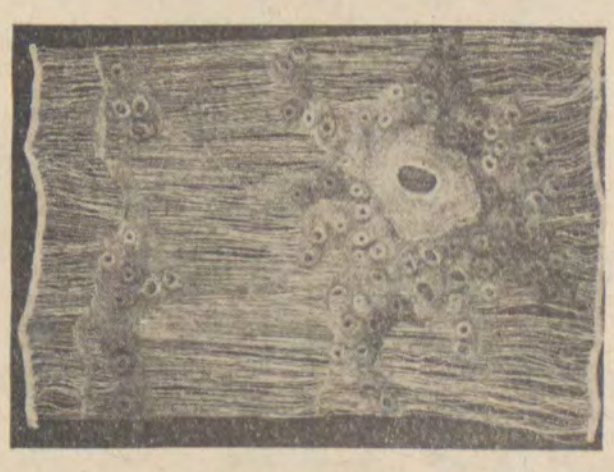

*Teresa Muszyńska — WENUS*

W chwili, kiedy Czytelnicy dostaną do ręki ten numer „Odgłosów", czwarta Łódzka Wiosna Artystyczna będzie już zakończona. Ale dziś, gdy chcę omówić pierwsze jej imprezy muzyczne, dopiero się zaczyna. Wśród licznych atrakcji kulturalnych właśnie imprezy muzyczne zajmują jedną z najpoważniejszych pozycji. Dzieje się tak głównie dzięki włączeniu do Wiosny Artystycznej Łódzkich Spotkań Baletowych. I one, w chwili dotarcia tych „Odgłosów" do Czytelnika, będą już zakończone i wówczas dopiero przyjdzie pora na podsumowanie tej coraz poważniejszej i coraz bardziej międzynarodowej imprezy. Dziś chciałabym zająć się dwoma tylko wydarzeniami, które w dziedzinie muzyki zapoczątkowały imprezy Łódzkiej Wiosny Artystycznej: inaugurującą Spotkania Baletowe nową premierą Teatru Wielkiego oraz przedstawieniem Teatru Instrumentalnego — w życiu kulturalnym naszego miasta całkowitym novum.

TERESA WOJCIECHOWSKA

# NA CO DZIEŃ I OD ŚWIĘTA CZYLI WIOSNA I MUZYKA

Na inauguracyjne przedstawienie Spotkań złożyły się dwa balety: **„DAFNIS i CHLOE" MAURYCEGO RAVELA** oraz **„ZIELONY STÓŁ" KURTA JOOSSA.** Jedna z najpiękniejszych i najbardziej wartościowych pozycji klasycznego repertuaru baletowego — „Dafnis i Chloe" Ravela znalazła w Łodzi realizatorów w osobach **WŁODZIMIERZA KAMIRSKIEGO** (kierownictwo muzyczne), **WITOLDA BORKOWSKIEGO** (reżyseria, inscenizacja i choreografia); autorem scenografii jest **ROMAN BUBIEC,** chór przygotował **WŁODZIMIERZ POSPIECH.**

„Dafnis i Chloe" jest dopiero drugą premierą Włodzimierza Kamirskiego w Teatrze Wielkim (poprzednią była „Madame Butterfly"). Ale już po tych dwóch pozycjach, prezentujących różne style muzyczne, można powiedzieć, że łódzka scena pozyskała świetnego muzyka, rzetelnego w pracy i utalentowanego jednocześnie, dyrygenta, którego współpraca z orkiestrą daje doskonałe rezultaty. Dzięki tym cechom indywidualności Kamirskiego, piękna a trudna dla wykonawców muzyka ravelowska znalazła interpretację czystą i precyzyjnie oddającą ducha tej muzyki.

Mniej szczęścia miał balet do reżyserii i choreografii, a także scenografii. Od tej strony można by nazwać przedstawienie poprawnie — szkolnym. Słodko — pastelowa scenografia z niezbyt harmonizującymi z całością maskami o mrugających od czasu do czasu oczach, była tłem dla układów tanecznych raczej ubogich w inwencję, a na pewno nie wykorzystujących ambicji i możliwości zespołu. Zaprezentowano zaś czołową obsadę baletu Teatru Wielkiego **(Iwona Wakowska** — Chloe, **Eugeniusz Jakubiak** — Dafnis, **Janina Niesobska** — Lykajnijon, **Włodzimierz Traczewski** — Briaksis, **Kazimierz Knol** — Darkon, **Bogdan Jankowski** — Pan). Wykonawstwu zresztą niczego zarzucić nie można. Soliści prezentowali wysoki poziom — w narzuconych im ramach. Niewątpliwą wadą koncepcji scenograficznej była konieczność umieszczenia chóru w miejscu tak odległym od sceny, że dyrygent prowadził ten zespół poprzez monitory, a publiczność słuchała go przez głośniki. Mimo to chór wywiązał się ze swych zadań bez zarzutu.

Witold Borkowski jest zasłużonym kierownikiem baletu łódzkiego zarówno jako pedagog jak i autor wielu, często ciekawych, układów tanecznych. Może jednak właśnie zbyt wielu? Teatr Wielki kultywuje chlubną tradycję zapraszania do współpracy realizatorów spoza Łodzi, krajowych i zagranicznych — reżyserów i scenografów. Może warto by zwyczajem tym objąć również choreografów?

Refleksja ta nasunęła mi się podczas oglądania kolejnej pozycji wieczoru — „Zielonego stołu" Kurta Joossa z muzyką Fryderyka A. Cohena. Kurt Jooss jest jedną z czołowych postaci współczesnego baletu europejskiego, współtwórcą tzw. baletu wyrazistego, odchodzącego od zasad tańca klasycznego. Szkoła ta powstała w Niemczech w latach 20—30-tych i do dziś stanowi chyba podstawy tańca współczesnego. Kurt Jooss już od 1924 r. wystawia balety, w większości własnego libretta, które zyskują sławę europejską. Po dojściu Hitlera do władzy emigruje do Anglii, by powrócić do Niemiec dopiero w 1949 roku.

Najsłynniejszym jego dziełem jest właśnie „Zielony stół", który w 1932 r. na międzynarodowym konkursie tańca w Paryżu uzyskał pierwsze miejsce i nagrodę pieniężną. Od tego czasu rozpoczyna się światowa kariera „Zielonego stołu" na wielu scenach Europy i Ameryki. Antywojenny charakter dzieła sprawia, że jego wymowa ideowa jest wciąż — niestety — aktualna: bezowocne obrady dyplomatów przy zielonych stołach i wojny, w których giną ludzie, wysyłani na śmierć przez dyplomatów. Nie zestarzała się również sztuka taneczna Kurta Joossa, choć balet jest wystawiany od 40 lat bez zmian, według partytury choreograficznej napisanej przez autora. Jest to taniec nowoczesny, łączący w sposób niezwykle harmonijny ten gatunek, z elementami baletu klasycznego i pantonimy. Plastyka ruchu, ekspresja wyrazu, siła wymowy ideowej podporządkowują sobie wszystkie pozostałe elementy sceniczne. Jedyną scenografią są czarne kotary, na tle których tańczy balet, akompaniamentem zaś — muzyka czysto ilustracyjna, grana na dwóch fortepianach.

Realizatorką łódzkiego przedstawienia jest córka Kurta Joossa **ANNA MARKARD.** Przenosząc koncepcję ojca na scenę Teatru Wielkiego, główny wysiłek skoncentrowała na pracy z zespołem. I uzyskała świetne efekty. Zdawać by się mogło, że Anna Markard przywiozła do Łodzi „Zielony stół" razem z wykonawcami. Doskonale potrafili wyczuć zaproponowany im styl, zatańczyli bardzo sugestywnie. Jest to tym bardziej godne uznania, że nasi tancerze nie mieli dotychczas okazji występowania w tym gatunku tanecznym. Świetnie zatańczyli: **Kazimierz Wrzosek** (Śmierć), **Ewa Wycichowska** (Dziewczyna), **Małgorzata Zalewska** (Matka), **Iwona Błaszczyk** (Partyzantka), **Zbigniew Sobis** (Paskarz), **Stanisław Wojt** (Chorąży) i inni.

* * *

Na scenie Małej Sali Teatru Nowego odbyła się impreza całkiem niecodzienna. Z inicjatywy łódzkiego koła ZKP oraz ŁTM, pod patronatem Wydz. Kultury, miał miejsce pierwszy w Łodzi spektakl Teatru Instrumentalnego. Rzecz jest aż tak nowa, że wymaga kilku słów wyjaśnienia. Otóż jest to muzyka inscenizowana, muzyka zrywająca ze statycznością wykonawstwa, propozycja uteatralnienia koncertu, wzbogacenia go o elementy takie jak światło, ruch, gest, rekwizyty. Łódzki spektakl reżyserował **Jan Skotnicki,** udział wzięli: **Włodzimierz Traczewski i Andrzej Grzybowski.** Utwory kompozytorów łódzkich: **ANDRZEJA HUNDZIAKA, JERZEGO BAUERA, BERNARDA PIETRZAKA i BRONISŁAWA K. PRZYBYLSKIEGO,** grali młodzi instrumentaliści. Przedstawienie potraktowane zostało z dużą dozą humoru, głównie jako zabawa. Z wyjątkiem Andrzeja Hundziaka („Sygnały" na kwartet puzonów i „Myśli" na zespół instrumentalny oraz taniec solowy, z których szczególnie drugi był pozycją ciekawą i ambitną kompozytorsko, poważną), pozostali autorzy potraktowali swe utwory jako żart muzyczno-sceniczny. Szczególnie pomysłowe i zabawne były „Gry iluzji" Jerzego Bauera, gdzie kwartet rozegrał partię gry w karty na... puzonach, zaś wykonanie na puzonach zebrania z dyskusją, nosiło już cechy satyry społecznej. Zabawna była również „Party" Bronisława Przybylskiego podczas której okazało się, że grać można nie tylko na kieliszkach, ale i fragmentach instrumentów oraz w ogóle wszystkim co wydaje dźwięk. Interesująca była również „Próba generalna" Bernarda Pietrzaka bazująca na przedkoncertowym strojeniu instrumentów.

Publiczność wypełniająca salę, mimo późnej pory (spektakl odbył się po Spotkaniach Baletowych), bawiła się znakomicie i świetnie reagowała na zaproponowaną jej zabawę. Obawiam się jednak, że wieczoru tego nie można nazwać premierowym, bo po premierze następują dalsze przedstawienia tu zaś na dalsze nie zapowiada się. Nie ma patrona, który by rzecz finansował. A szkoda, by ta inicjatywa stała się efemerydą. Obok walorów popularyzatorskich miałaby ona zapewne i inspiratorskie dla kompozytorów.

Myślę, że gdy skończy się Wiosna Artystyczna, gdy przyjdzie czas na podsumowania i oceny tego co wniosła nowego, interesującego i wartościowego, trzeba będzie zastanowić się również nad tym, by nowe i cenne, a czasem okazjonalne inicjatywy nie wygasły, by zostały podjęte, by weszły do trwałego dorobku kulturalnego miasta. Bo to jest przecież jeden z głównych celów wiosennego święta kultury łódzkiej.

## *Przeszłość i teraźniejszość*

# *Etiopia-pierwszy front II wojny światowej*

*Przeciętny europejski czytelnik gazet wiedział o tym odległym kraju bardzo niewiele i pewnie nie dowiedziałby się więcej, gdyby nie wielkie wydarzenia polityczne lat 1935—1936, które sprawiły, że Etiopia znalazła się na pierwszych stronach całej światowej prasy. Państwo to, które od dawna było przedmiotem ekonomicznej i politycznej rywalizacji wielkich imperialistycznych mocarstw, padło wówczas ofiarą agresji ze strony faszystowskich Włoch. Wojna włosko-etiopska 1935—1936 należy do tych wydarzeń historycznych, które choć same miały ograniczony zasięg i działy się na obszarach stosunkowo oddalonych od wielkich stolic świata, wywołały doniosłe skutki w skali międzynarodowej. Współczesny historyk słusznie podkreśla, że była ona „jednym z najbardziej istotnych czynników, które w połowie lat trzydziestych doprowadziły do zmian w układzie sił międzynarodowych w Europie". Stało się tak nie tylko dlatego, że zaangażowanie Włoch w rejonie Morza Śródziemnego przyczyniło się, jak dzisiaj wiadomo, do przyspieszenia realizacji ekspansywnych planów hitlerowskich Niemiec w Europie środkowowschodniej. „Znaczenie problemu etiopskiego polega jednak przede wszystkim na tym — przytoczmy słowa Andrzeja Bartnickiego z książki „Pierwszy front II wojny światowej" (PWN 1971) — że stał się on dla całego świata probierzem stosunku do systemu bezpieczeństwa zbiorowego i Paktu Ligi Narodów". Nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że od tego, czy Liga Narodów zdoła powstrzymać agresora w realizacji jego planów, czy też nie, zależało w przyszłości bardzo wiele: dalsze funkcjonowanie utworzonego po Wersalu systemu zbiorowego bezpieczeństwa. W tym też sensie problem etiopski, który znalazł się na forum obrad Ligi, był dla niej ważkim egzaminem politycznym, którego jednak wydzenie akcji mediacyjnej i nieskuteczność ewentualnych sankcji, słowem kompromitacja Ligi Narodów miałyby doniosłe znaczenie dla realizacji dalszych planów wojennych, tym razem już w Europie. Nie było to również tajemnicą dla postępowej opinii świata. Przypomnijmy kilka współczesnych głosów. „Włochy dokonają swego dzieła z Genewą, bez Genewy, lub wbrew Genewie" oświadczał Mussolini w sierpniu 1935 r. „Sankcje to samobójstwo" pisał w tym czasie angielski „Observer". „A już najmniej bym chciał iść przeciw faszyzmowi razem z Panem Litwinowem. Tak głęboko jeszcze żeśmy chyba nie upadli, żebyśmy szli razem z bolszewikami" głosił czeski polityk burżuazyjny Karel Kramar. A oto głosy z przeciwnego obozu: „Dzisiaj Etiopia, jutro Czechosłowacja... Koła genewskie pytają, co będzie z naszym stosunkiem do artykułu 16 Paktu Ligi Narodów w czasie bombardowania Pragi... Polityka, która w obecnym momencie chroni Italię, jest polityką wrogą wobec własnego narodu" pisało w październiku 1935 „Rude Pravo". „Wojna, która się zaczęła we wschodniej Afryce, jest największym, po okupacji Mandżurii przez Japonię, wydarzeniem pokazującym jak bardzo zaostrzyły się przeciwieństwa w łonie obozu imperialistycznego, co prowadzi do powstania groźby nowej, wielkiej wojny światowej" czytamy w radzieckiej „Prawdzie" w tym samym czasie. „Nowy Przegląd" nieco wcześniej, we wrześniu 1935 komentował zaś: „Gdyby świat dopuścił do tego, że pod pretekstem podniesienia cywilizacji Włochy napadłyby na Abisynię — podobnie jak to w wypadku najazdu japońskiego na Chiny — otworzyłoby to możliwości wszystkim reakcyjnym siłom wojennym pod podobnymi pretekstami zorganizować bezkarnie najazdy na słabsze państwa".*

*W płaszczyźnie stosunków międzynarodowych — podkreśla dziś historyk — „konflikt włosko-etiopski stał się pierwszym frontem II wojny światowej", jako wstęp do wydarzeń, które miały nastąpić już niewiele później. „W świadomości dwóch co najmniej narodów wydarzenia wojenne, związane dla nich nierozdzielnie z okresem II wojny światowej, rozpoczęły się o wiele wcześniej aniżeli odpowiednie działania w Europie". Cesarz Etiopii Hajle Sellasje I w przemówieniu, wygłoszonym w maju 1945 roku w Addis Abebie z okazji zwycięstwa nad hitleryzmem mówił: „Prawie sześć lat temu, 1 września 1939 roku, Niemcy hitlerowskie zaatakowały Polskę. Dla wielu ludzi na świecie — być może dla ogromnej większości — ten straszny dzień stał się pierwszym dniem drugiej wielkiej wojny światowej. Później — z szerszej perspektywy lat wojny — zdano sobie sprawę, że dla Etiopii, jak również dla naszego wielkiego sojusznika na Wschodzie, wojna — ta wojna, o czym mogliśmy się tak gorzko przekonać, zaczęła się o wiele wcześniej".*

JÓZEF GRZELAK

KAROL BADZIAK

# A JEDNAK ZAKOPANE

**Zakopane reklamy nie potrzebuje, wręcz przeciwnie, ażeby uchronić się przed masowym najazdem współczesnych Nomadów miasto robi co może, aby ich odstręczyć. Bezskutecznie.**

Z roku na rok przypływ turystów i wczasowiczów do miasta wzrasta o 15—20 proc. W 1956 roku odwiedziło Zakopane 300.000 turystów; w 1960 roku — 900.000 turystów, w 1962 — 1.500.000. W ubiegłym roku odwiedziło Zakopane 2.500.000 osób. Prognozy na najbliższe lata przewidują podwojenie, a nawet potrojenie tej liczby. Nie da się tego wytłumaczyć już modą, snobizmem, czy zbiorową psychozą, trzeba sięgnąć po racjonalne argumenty. Zakopane jest po prostu elementem szerszego zjawiska we współczesnym świecie.

Co roku na wiosnę, od przeszło dziesięciu lat, władze Ziemi Krakowskiej zapraszały dziennikarzy z całej Polski na konferencje pod hasłem: nie tylko Zakopane. Usiłowano przy pomocy środków masowego przekazu zahamować tę rwącą falę ludzką, wskazując na inne miejscowości — równie atrakcyjne i bardziej może gościnne. W tym roku zrezygnowano jednak z tych bezpłodnych wysiłków, wychodząc z założenia, że jeśli się czegoś nie da zwalczyć, należy się z tym pogodzić, udoskonalić, a przede wszystkim przyjąć do wiadomości. Niezbyt bowiem odkrywcza myśl, że turystyka w nowoczesnym państwie może stać się przemysłem, bardzo długo torowała sobie drogę. Jak już wreszcie została uznana, wtedy okazało się, że istniejący model gospodarki turystycznej w Polsce jest nie do zaakceptowania. Posiada on strukturę przestarzałą i nie dostosowaną do obecnych potrzeb społecznych i ekonomicznych. Najlepsza tego ilustracja jest właśnie Zakopane — zjawisko z rzędu fenomenów. Zrozumieć Zakopane to zrozumieć problem wypoczynku w Polsce.

Niektórzy, co prawda, mają wątpliwości, co do stosunków panujących w Zakopanem. Ja rozumiem te wątpliwości. Prawdą jest, że 2.000 rodzin w tym mieście nie ma gdzie mieszkać, a równocześnie znajduje się tutaj 15.000 kwater prywatnych. Na przestrzeni ostatnich 10 lat wybudowano w tym mieście 1.300 domków jednorodzinnych, a faktycznie luksusowych pensjonatów, z których każdy daje właścicielowi rocznie średnio 300.000 złotych dochodu. Cóż, nie licząc znaczków pocztowych, najlepszą lokatą kapitałów w Polsce było dotychczas Zakopane. Dla porównania — sektor uspołeczniony dysponuje w Zakopanem zaledwie 3.000 miejsc noclegowych. Istnieje tu ponadto 350 prywatnych jadłodajni. Ich roczny obrót oficjalnie wynosi 50 milionów złotych. Obroty państwowej gastronomii są dwa razy większe, jednakże byłoby dziecinną naiwnością sądzić, że właściciele prywatnych jadłodajni wydają dziennie przepisowe trzydzieści obiadów. Wystarczy wziąć tylko do ręki spis potraw z pierwszej lepszej jadłodajni, a zobaczymy, że figuruje tam minimum 7—10 dań. Cudów nie ma, przy takiej ilości dań, gotowanie trzydziestu obiadów dziennie byłoby czynnością filantropijną. Przypuszczam, że płynące stąd zyski są dwukrotnie większe, niż zyski gastronomii uspołecznionej. Dodajmy do tego jeszcze korzyści z serwowania przyjezdnym różnego rodzaju usług prywatnych, a dojdziemy do wniosku, że lwią część dochodów z turystyki przechwytuje sektor prywatny. Walka z nim jest nierówna. W Zakopanem milionerzy rodzą się na pęczki. Skutki społeczne tego są wiadome, choćby z komunikatów prokuratury. Tam, gdzie rodzą się milionerzy, rodzi się deprawacja, odpowiedni styl życia, no i ekstrawaganckie zwyczaje. W nowobogackim stylu zakopiańczyków jest bardzo modne obdarowywanie nieletnich pociech samochodami marki Fiat 125-P. Jedna z milionerek zakopiańskich wybrała się specjalnie w podróż do Szwecji po zakup sedesu w kwiatki.

**W tym mieście, jak w soczewce, skoncentrowały się wszystkie problemy związane ze społecznymi i gospodarczymi konsekwencjami turystyki, wypoczynku i sportu.** Występują one tu w sposób wyolbrzymiony, doprowadzony do granic patologi. Miasto, które było kiedyś uzdrowiskiem, dziś samo jest chore, podobnie jak Międzyzdroje i szereg innych miejscowości letniskowych, przeżywa ostry kryzys i wymaga skuteczniejszej terapii. Tymczasem dawno już przestało być Zakopane stacją klimatyczną i dwadzieścia sanatoriów, które tam jeszcze pozostało, należy natychmiast stamtąd wyprowadzić może gdzieś w okolice Otwocka. Wskutek dynamicznego i chaotycznego rozwoju skażona jest w Zakopanem nie tylko atmosfera społeczna, ale i ekologia. Zanieczyszczenie środowiska naturalnego, a w szczególności powietrza, w okresach zimowych przekracza dopuszczalną dla zdrowia normę.

Władze Zakopanego znajdują się w dość specyficznej sytuacji. Ich zadaniem jest nie tylko dbać o interesy miejscowego społeczeństwa, lecz równocześnie są zobowiązane zapewnić 2,5-milionowej rzeszy przyjezdnych godziwe warunki wypoczynku, rekreacji i rozrywki. Z tego ogromnego zagłębia wypoczynkowego mają przecież ludzie wracać do pracy produkcyjnej z zapasem nowych sił, zadowoleni z życia, wypoczęci, szczęśliwi.

Oblicza się, że aby ta miejscowość mogła rzeczywiście sprostać wszystkim zadaniom, nałożonym na nią w zakresie obsługi ruchu turystycznego, wczasowo-wypoczynkowego i sportowego — winno się tu zainwestować 2,5 miliarda złotych. Oznacza to, że kraj nasz w latach 1972 —1980, na każdego przybywającego do zimowej stolicy Polski gościa, powinien zainwestować tysiąc złotych. **Olbrzymi jest bowiem rejestr tutejszych potrzeb.** Przede wszystkim brak jest w Zakopanem podstawowych urządzeń komunalnych: oczyszczalni ścieków, kanalizacji sanitarnej, trwałych nawierzchni ulic, nowych ujęć wody, ponadto campingów, pól namiotowych, moteli, hoteli, schronisk, sklepów, zakładów gastronomicznych, punktów usługowych i wreszcie obiektów kulturalnych, jak choćby hali widowiskowej, galerii, parku etnograficznego i sali teatralnej. W dziedzinie sportu z kolei brak dobrego lodowiska, krytej pływalni, wielu boisk, torów saneczkowych, wyciągów narciarskich itp. itd. Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja z terenami pod nowe inwestycje, ponieważ 90 proc. terenów indywidualnych zostało już zużyte, zabudowane. A innych terenów, niż indywidualne, w Zakopanem nie ma. Tymczasem dopiero po zrealizowaniu tego intensywnego programu rozwoju miasta, będzie można mówić o uspołecznionym przemyśle turystycznym, przemyśle bardzo rentownym, z którego gospodarka narodowa zdołałaby czerpać odpowiednie korzyści. A na razie z lawinowego rozwoju potrzeb turystycznych czerpie profit inicjatywa prywatna. Jest to konkurencja energiczna i elastyczna, pełna inwencji i inicjatywy i byłoby dużym nieporozumieniem ograniczać jej działalność środkami administracyjnymi, wprost przeciwnie w nowo rozwijających się miejscowościach wypoczynkowych popiera się inwestycje prywatne, służące celom rekreacji. Niemniej byłbym za pewnym spłaszczeniem dochodów, czerpanych przez osoby prywatne z obsługi ruchu turystycznego w Polsce. Rzecz jasna sprawa jest delikatna i złożona, ale jakaś kontrola wysokości dochodów jest niezbędna. Nie chciałbym być źle zrozumiany, nie sugeruję nacjonalizacji domków jednorodzinnych, gdyż byłby to obłęd, lecz jeśli ktoś ma trzy takie obiekty i dochody rzędu miliona złotych rocznie, to w kraju, gdzie maksymalne zarobki sięgają pułapu 100.000 złotych rocznie, wydają się one nieco przesadne. Dochody te, oczywiście są całkiem legalne, ludzie ci zręcznie wypełnili lukę, jaka powstała z powodu niedoceniania niegdyś wzrostu wewnętrznych potrzeb turystycznych i wypoczynkowych.

**Ponadto GKKFiT i inne resorty odpowiedzialne za te sprawy dość nieprawidłowo oceniały i rozwijały to zagadnienie, często w ogóle programując jego rozwój w niewłaściwym kierunku. Charakterystycznym przykładem jest tu FWP, instytucja wyjątkowo pożyteczna, ze świetną kadrą i dużym doświadczeniem oraz dorobkiem w dziedzinie organizowania wczasów, która jednakże w ciągu 20 lat istnienia nie zwiększyła absolutnie swej bazy.** W to miejsce preferowano budowę ośrodków zakładowych, których przydatność w wielu wypadkach jest raczej wątpliwa. Ilustracją jest tu huta „Silesia", która wybudowała wspaniały dom wypoczynkowy w Pcimiu, wartości bodajże 10 milionów złotych. Załoga jednak niechętnie korzystała z tego komfortowego obiektu, dyrekcja huty zmuszona więc była sprzedać dom na całkiem inne cele. Zupełnie nowy gmach przebudowano kosztem wielu milionów, już nawet nie pamiętam na co, bodajże na szkołę. Jeśli chodzi o ośrodki zakładowe, to bardzo ważną rzeczą jest tu lokalizacja. Robotnicy chętniej jeżdżą do swych ośrodków zakładowych, jeśli znajdują się one w jakimś modnym, znanym, większym kurorcie. Do domów na pustkowiu niechętnie się wybierają. Przyczyna jest dość prozaiczna; w większej miejscowości łatwiej się odizolować od swego środowiska zawodowego, od hierarchii i współzależności, które automatycznie przenoszone są z miejsca pracy na miejsce wypoczynku.

Utarło się przekonanie, że w ogóle w zakresie turystyki, wypoczynku i wczasów najważniejsza jest baza noclegowa. I słusznie, tylko nieporozumienie polega na tym, iż nam się wydaje, że tej bazy w Polsce ciągle mamy za mało. Tymczasem samo województwo krakowskie ma zaledwie trochę mniejszą bazę noclegową, niż cała Bułgaria, która ostatnio uchodzi za kraj wyjątkowo powabny turystycznie. Bułgaria ma dokładnie 238.000 miejsc noclegowych, a woj. krakowskie — 194.000. **Nieszczęście polega na tym, że nasza baza dzieli się na zamkniętą i otwartą, z tym, iż stosunek pierwszej do drugiej ma się jak 3:1. W tym samym woj. krakowskim baza hermetycznie zamknięta liczy sobie 95.839 miejsc, baza otwarta — 31.193 miejsca.**

Wiadomo, że wczasowe ośrodki kolonijne, czy zakładowe domy wypoczynkowe całymi tygodniami stoją puste, wykorzystywane przeważnie w dwu letnich miesiącach oraz w okresach świątecznych. Po prostu personel tych ośrodków nie jest zainteresowany ekonomicznie w przyjmowaniu gości. Jednym słowem nie potrafimy posiadanej bazy racjonalnie wykorzystać. Niedołężna organizacja hamuje wzrost przyjazdów turystów zagranicznych. Nasze biura turystyczne załatwiają odmownie wielu Austriaków i Szwajcarów, którzy wykazują chęć spędzenia urlopu w Polsce. Otwarcie granicy z NRD, a w przyszłości i z innymi krajami socjalistycznymi, również spowoduje zwiększony ruch w interesie. Na szosie z Krakowa do Zakopanego zanotowano podczas jednej niedzieli maja 1000 pojazdów z NRD. Zresztą w ogóle ruch samochodowy na tej szosie jest bardzo duży. Niedługo ma zostać oddana druga nitka tej szosy, prowadzącej z Krakowa do Nowego Targu. Szosa z Katowic do Zakopanego została już uruchomiona. Szlakami tymi wlewa się do miasta potężny strumień samochodów, dla których nie ma już w Zakopanem miejsca. Istnieje więc projekt budowania kolei elektrycznej z Nowego Targu do Zakopanego. Dzięki temu można by znacznie zatamować ruch zmotoryzowany, nie wpuścić go do samego Zakopanego, zatrzymać na pograniczu Nowego Targu. **Jeśli jednak ta koncepcja będzie tak niedołężnie realizowana, jak budowa schroniska nad Morskim Okiem, to w Zakopanem do tego czasu zniknie życie biologiczne na skutek nadmiaru spalin.**

Pierwsza myśl o budowie nowego schroniska nad Morskim Okiem rzucona została jeszcze w 1934 roku. Spory trwały aż do wybuchu wojny. II wojna światowa się skończyła, zaczęły się narady i konferencje, oczywiście na ten sam temat. Do tej pory odbyły się w tej sprawie 202 konferencje, 5 milionów złotych pochłonęły same koszty na delegacje służbowe, ponadto wydano trzy uchwały na szczeblu rządowym, z których żadna nie została zrealizowana. Cały czas była, oczywiście mowa o budowie schroniska nad samym Morskim Okiem, na tzw. morenie. Istnieją już szczegółowe plany tego schroniska, przeprowadzono szereg badań hydrogeologicznych, wykonano wiele ekspertyz, nie wspominając już o 38 milionach złotych, które czekają, aby je podjąć z banku i przetworzyć w zmyślną bryłę architektoniczną. Nie ma tylko jednego — zgodności co do lokalizacji obiektu. Po wielu latach żmudnych narad i ostrych dyskusji pojawiła się ostatnio całkiem świeża koncepcja. Aktyw Zakopanego wystąpił z projektem budowy schroniska na Włosienicy, w Szałasiskach. Znajduje się tam już wiekopomny pawilon gastronomiczny, sławny z tego, że jak jest czynny, to przynosi większe straty, niż wówczas, kiedy jest zamknięty.

A w ogóle, to już nie mieliśmy dotychczas szczęścia do inwestycji w tym rejonie Tatr. W pobliżu Zakopanego, a raczej Nowego Targu wybudowano nowe lotnisko, co nas, łodzian, szczególnie może zaintrygować, ale nie opłaca się tego lotniska uruchamiać, albowiem obliczono, że w tej okolicy tylko 60 dni w roku nadaje się do bezpiecznych lotów.

Zresztą co bym złego nie powiedział o tym mieście, i tak go ludziom nie obrzydzę. Przed 72 laty Walery Elijasz w „Przewodniku do Tatr" pisał: „Potrzebujący mieszkania gość po przyjeździe koleją ma czas do wyszukania go sobie, obchodząc szeregi domów i will w ulicach dotychczas wolnych od letnich mieszkańców, a nie powinien wierzyć pierwszemu stręczycielowi, który przybyłego zwykle fałszywie informuje z własnego interesu".

Niewiele się od tego czasu w Zakopanem zmieniło, najwyżej tyle, że dziś na dworcu „stręczy" nam mieszkania wnuk tamtego „stręczyciela".

Dziś odwiedza Zakopane i Tatry dwa i pół miliona turystów, za kilka lat będzie ich prawdopodobnie 7—8 milionów. Zapytuję, co zrobić z tak gigantyczną liczbą ludzi. Trochę ich szkoda dla „streczycieli".

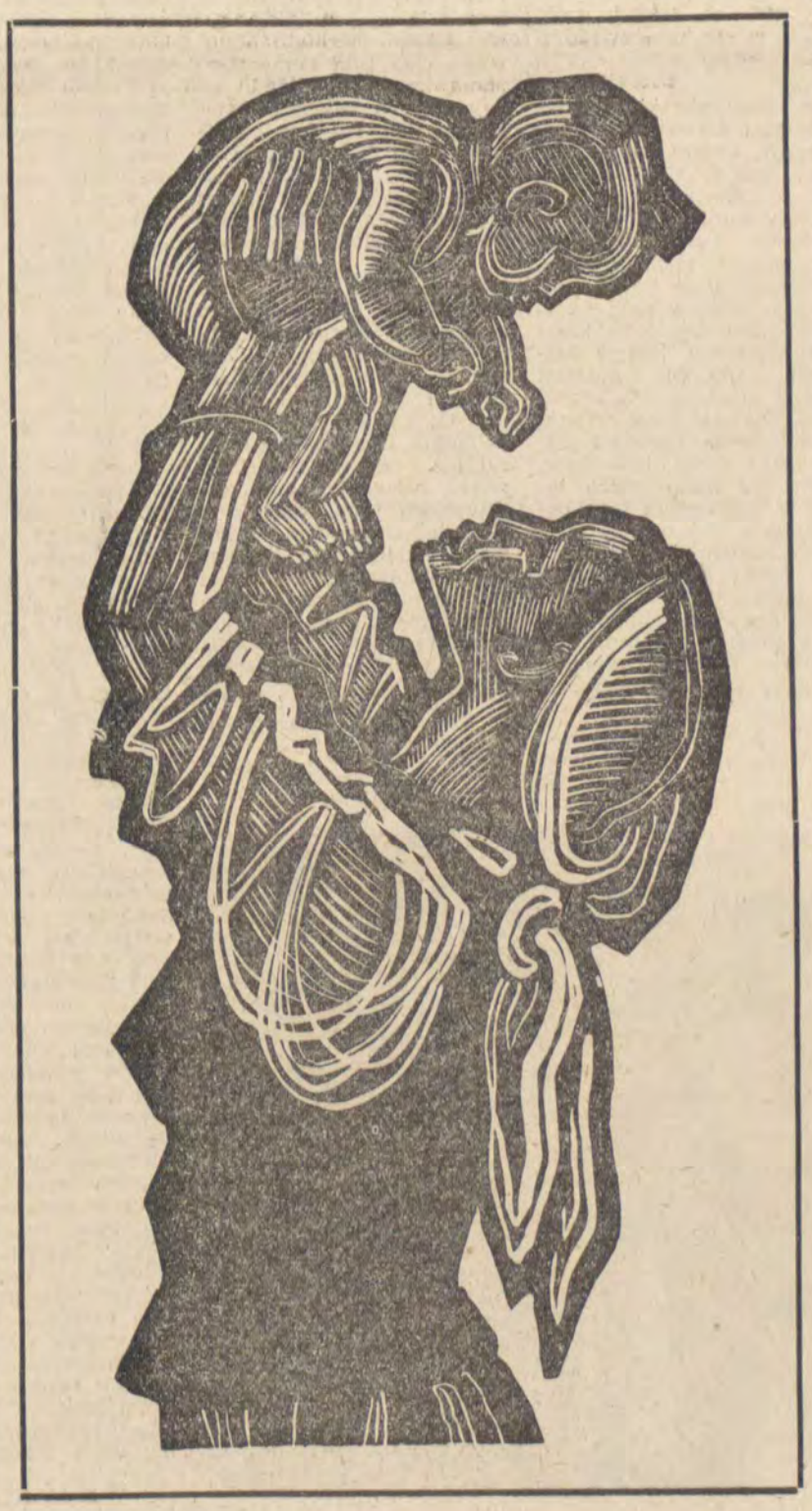

# Listy do redakcji

W związku z artykułem red. M. Stolarskiego wydrukowanym w nr 17 tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy" z dnia 23. 04. 72 r. pt. „Sprawa Lasotówny" informuję, że fakty tam podane nie są całkowicie zgodne z prawdą, naświetlone są jednostronnie, a opinia w nich przedstawiona jest dla mnie krzywdząca. W związku z powyższym informuję:

a) nieprawdą jest, że przez okres szkoły średniej grałam w AZS-ie Łódź, jak autor podaje w swoim artykule;
b) nie jest prawdą też, że przyjmowałam proponowane przez AZS warunki, dopóki w grę wchodził wyjazd do Austrii, jak sugeruje autor artykułu;
c) również nieprawdą jest, że prośbę o pomoc w uzyskaniu pracy wyraziłam po ukończeniu studiów.

Pozwolę sobie przedstawić, jak wyglądają fakty:

Oferowanie mi pracy przez AZS i władze miasta miało miejsce dopiero w styczniu br., a więc pod koniec trzymiesięcznego okresu od czasu ukończenia studiów. Informację tę otrzymałam zbyt późno, ponieważ moje starania o pracę w Lubinie były zbyt zaawansowane (podjęłam je widząc bezskuteczność poszukiwań odpowiedniej pracy w Łodzi. Nadmieniam przy tym, że poszukiwania te trwały około jednego roku).

Do składu na międzynarodowy turniej tenisa stołowego w Wiedniu włączona zostałam na wniosek instruktora w nagrodę za aktywny udział w pracy sekcji.

Zapomogę przyjęłam (nie zwracałam się do Zarządu Klubu o przyznanie mi tejże), gdyż rzeczywiście byłam w trudnej sytuacji finansowej wskutek przedłużającego się okresu poszukiwania pracy w Łodzi. Inne możliwości podjęcia pracy dotyczące terenu Łodzi nie odpowiadały mi ze względu na charakter pracy, np:

— stanowisko kierownika sali barowej w „Balatonie" lub
— kontrolera sprzedawców w P. P. „Delikatesy".

Wydaje mi się, że praca w Zakładzie Badawczo-Wdrożeniowym d/s Chemii jest bardziej odpowiednia dla mgr inż., niż na w/w stanowiskach.

Oczekuję sprostowania nieprawdziwych informacji zawartych w artykule, w którym w niezbyt dobrym świetle przedstawiono moją osobę.

Lubin, 8, V. 72 r.

**ALICJA LASOTA**

☆ ✲ ☆

Na marginesie artykułu zamieszczonego w nr 17 tygodnika „Odgłosy" pt. „Sprawa Lasotówny", oraz przesłanego nam do wiadomości pisma zainteresowanej z dnia 8. V. 1972 r. pragniemy wyrazić następujące uwagi:

Faktem jest, że koleżanka Lasotówna rozpoczęła starty w barwach AZS w momencie podjęcia studiów na Politechnice Łódzkiej.

Faktem jest również, że starania o wyszukiwanie odpowiedniego miejsca pracy uwieńczone zostały pozytywnym skutkiem dopiero w około trzy miesiące po uzyskaniu przez kol. Lasotównę dyplomu. Opóźnienie to spowodowane było głównie koniecznością znalezienia pracy niezupełnie zgodnej z kierunkiem studiów, taki bowiem warunek stawiała kol. Lasotówna. Będąc absolwentką Wydziału Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej upatrywała większe perspektywy zarobkowe i awansowe w przemyśle włókienniczym i takie też miejsce pracy zostało jej zaoferowane.

Stanowiska w barze „Balaton" i w PP Delikatesy nie były proponowane przez AZS. Ponieważ jak nam wiadomo kol. Lasotówna prowadziła odnośne pertraktacje również z Klubem Sportowym „Włókniarz" w Łodzi sądzić można, że propozycja ta przedstawiona została w wyniku starań tego Klubu.

Zauważyć należy, że poważną część omawianego artykułu w „Odgłosach" stanowiło cytowane dosłownie pismo Zarządu Środowiskowego AZS skierowane dnia 5. II. 1972 r. do koleżanki Lasotówny.

Treści tego pisma zainteresowana nie kwestionowała.

**ANDRZEJ ŁUBIEŃSKI**
**Sekretarz**

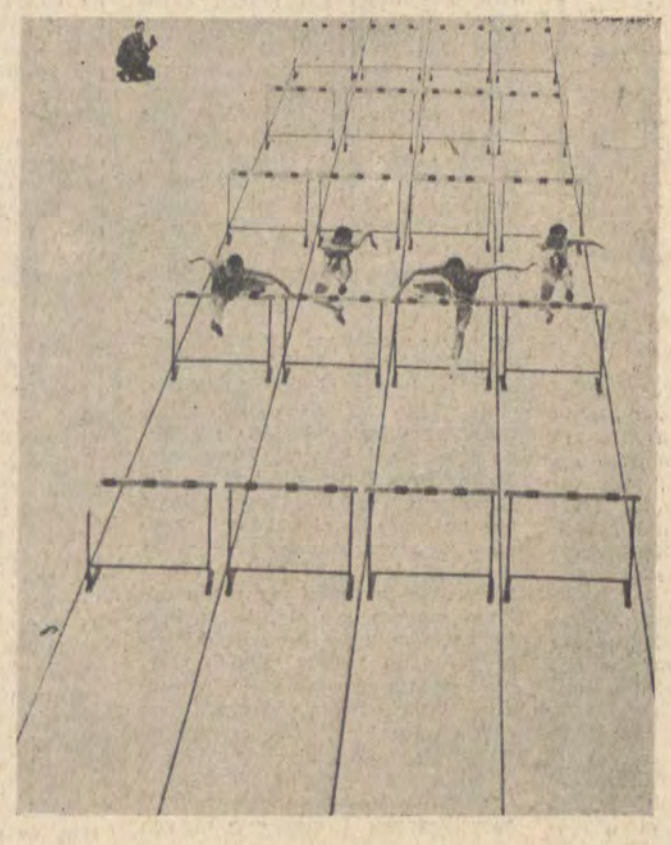

# O filmach dobrze i źle

Dobrze przyjęty na Zachodzie film Jerzego Skolimowskiego „NA SAMYM DNIE" spotka się zapewne i u nas z równie życzliwym przyjęciem. Jest to film, który musi się podobać na tej samej zasadzie, na której opieramy nasze umiłowania rzeczy drobnych, kruchych, delikatnych, kiedy to sama możność patrzenia na nie jest już przyjemnością. Zrealizował go Skolimowski we współprodukcji amerykańsko - zachodnioniemieckiej, czyniąc głównym bohaterem młodego Anglika, zdjęcia kręcił w Monachium, lecz londyńczycy odnaleźli swoje Soho w stanie czystym. Polakom pozostał scenariusz pióra Skolimowskiego, Gruzy i Sulika oraz sam reżyser wierny bohaterowi i tematom, których polskie konteksty pamiętamy z „Niewinnych czarodziei", „Noża w wodzie" (Skolimowski współscenarzysta), z „Rysopisu", „Walkowera", „Bariery". Skolimowskiego wierność młodości i jej problemom chodzi w parze z olbrzymią wrażliwością właśnie na wszystkie konteksty społeczne i obyczajowe. Był zawsze nie tylko znakomitym obserwatorem, lecz również interpretatorem uwikłań bohaterów, szukał ich źródeł i uzasadnień. W tematach polskich nie poprzestawał na psychologii, sondaże nie szły również tylko w kierunku obserwacji zachowań potocznych, postawy młodych trzeba było tłumaczyć ich reakcją na to, co było młodością ojców, co było przeszłością, i na to, co było polską teraźniejszością.

Młodość w filmach Skolimowskiego nie istniała nigdy bez głębokiego liryzmu, który zresztą przybierał formy najróżniejsze. Znajdowaliśmy go nie tylko w subiektywnych bardzo postawach i manifestacjach samego twórcy, nie bez kozery Skolimowski najczęściej sam grywał swych bohaterów, liryzm był w słowach, był w obrazach tak, jak w „Barierze" przemawiający symbolami i skojarzeniami. Pełen wewnętrznej pasji i zaangażowania, Skolimowski ze swych polskich filmów, w swej twórczości poza granicami kraju (przypomnijmy jeszcze belgijski „Start") pozostał wierny młodym, udoskonalił swój warsztat realizatorski — to prawda, pozbawił jednak swe filmy tego żaru, który być może trzeba łączyć z rodowodem jego bohoterów.

„Na samym dnie" to bardzo piękny film. Skolimowski opowiadając w nim historię pierwszej miłości młodego chłopca, pomocnika w miejskiej łaźni, zakochanego w swej starszej koleżance, prezentuje nam się tym razem jako mistrz psychologii i obyczajowej obserwacji, imponuje znakomitością nowoczesnego warsztatu filmowego. Gdy film ten porównamy z usiłowaniami podejmujących te same tematy polskich kolegów Skolimowskiego („Kto wierzy w bociany", „Seksolatki") możemy popaść w stan ciężkiej frustracji. Jak trudno robić filmy o młodych, wie zresztą nie tylko polskie kino, które jest tu przypadkiem wyjątkowo ciężkim. Tym chyba większy sukces Jerzego Skolimowskiego, który wie, że każda próba dosłowności i werbalizacji zniszczy to, co właśnie kruche, delikatne i nie zawsze wyrażalne. Buduje portrety swych bohaterów w mikrosytuacjach i epizodach, w których obserwacje zachowań i reakcji nie będą zawsze pointowane, ich suma dopiero na owe portrety się złoży. Kompozycyjna zasada epizodów pozwala Skolimowskiemu na cudowną żonglerkę nastrojami, których poetyczność, bądź brutalność, tworzy niecierpliwe oczekiwanie na niewiadomą następnej sekwencji. Dodatkowymi elementami niespodzianki w „Na samym dnie" są żarty i blackcuty, które Skolimowski znakomicie aranżuje, przypominając nam przy okazji narracyjne funkcje nowoczesnego montażu. Spotkanie z ostatnim filmem Jerzego Skolimowskiego, nie najważniejszym przecież w jego twórczości, proponować można wszystkim, którzy cenią sobie subtelny, wycieniowany psychologizm i smakują uroki nowoczesnego kina.

* * *

Coraz bujniej rozwijające się kinomatografie poszczególnych republik Związku Radzieckiego w ostatnich latach zwłaszcza dostarczają wiele przykładów filmów wybitnych, stających się wydarzeniami artystycznymi. Stosunkowo mało znamy jeszcze produkcję republik azjatyckich, choć „Pierwszy nauczyciel" zdążył już zachwycić europejską publiczność. Uzbekistańską wytwórnię reprezentuje obecnie na naszych ekranach „UPADEK CZARNEGO KONSULA", będący ostatnią, lecz samodzielną częścią trylogii uzbeckiego reżysera, Kamila Jarmatowa, poświęconej rewolucyjnym walkom narodów Azji Środkowej w latach 1918—1920.

Film ten włącza się w nurt bardzo ostatnio w kinie radzieckim popularnych filmów przygodowych, których tłem są lata Rewolucji i wojny domowej. Wydaje się jednak, iż mimo przyjęcia konwencji filmu przygodowego Jarmatowowi towarzyszyły ambicje poważniejsze. Film jest niewątpliwie lekcją historii tak mało przecież powszechnie znanej, pociąga przy tym nie lada egzotyką. Niestety uproszczenia, które narzuca film przygodowy i jednocześnie nie bardzo do tego typu filmu pasująca tzw. „ciężka ręka" realizatora, odbierają mu wiele walorów.

**EWA NURCZYNSKA**

# TP Obiektyw

## KONTYNENT DALEKI I NIEZNANY

W latach trzydziestych ukazał się na ekranach kin pełnometrażowy film dokumentalny pt. „Afryka mówi". Był on próbą odsłonięcia rąbka tajemnicy, jaka pokrywała wówczas ten wielki kontynent, a zwłaszcza jego część równikową.

Była to swoista rewelacja. Biały człowiek żyjący w kręgu kultury europejskiej wiedział o Afryce tak niewiele. Utożsamiał ją z rozpalonymi piaskami Sahary, lub z gęstwinami buszu, gdzie wśród drapieżnych zwierząt wiodą koczowniczy żywot czarni mieszkańcy tego lądu. Film „Afryka mówi" właściwie utwierdzał taki obraz wielkiego kontynentu.

Myślę, że powszechna niewiedza o Afryce była w gruncie rzeczy na rękę kolonizatorom, którym zależało na tym, by świat nie wiedział o procesach budzenia się Czarnej Afryki do samodzielnego życia. Skrzętnie przemilczane były wszelkie ślady świadczące o wielowiekowych tradycjach kulturalnych, o bogatej historii, świadczącej, że tu przed wiekami istniały samodzielne organizmy państwowe.

Dziś sytuacja się zmieniła. Na gruzach kolonialnych imperiów (zwłaszcza brytyjskiego i francuskiego), powstało kilkadziesiąt niezależnych i suwerennych państw. A mimo to, o Czarnym Lądzie wiemy wciąż mało. Przekonał mnie o tym japoński film dokumentalny „Perły Czarnego Kontynentu", który Telewizja Polska nadała w dniu 23. V. w miejsce nadawanego o tej porze zwykle filmu fabularnego.

Jeżeli ktoś nastawiony wyłącznie na rozrywkę wyłączył telewizor z uczciem rozczarowania po zapowiedzi spikerskiej, pozbawił się pasjonującego widowiska. Obiektywny i komentowany beznamiętnie japoński dokument filmowy ukazał nam bowiem Afrykę taką, o jakiej w gruncie rzeczy nie mamy pojęcia.

Ekspedycja jednego z uniwersytetów japońskich wylądowała w Kenii w porcie Mombasa, by po trzech miesiącach zaokrętować się w Kinszasie w Republice Zair (dawne Kongo Belgijskie) i powrócić do kraju. W międzyczasie Japończycy przebyli trasę ok. 10 tysięcy kilometrów przez samo serce równikowej Afryki, wspięli się na ośnieżony szczyt Kilimandżaro (5895 m n.p.m.), odbyli wspaniałe safari w Kenii (efektem tego były niepowtarzalne zdjęcia filmowe lwów, słoni, żyraf, strusi, hipopotamów, antylop i zebr, podpatrzonych dzięki teleobiektywowi w ich najintymniejszym życiu na swobodzie!), byli nad jeziorem Wiktoria, spędzili fascynujące dni wśród przyjaznych i gościnnych Pigmejów, wreszcie spłynęli drugą co do wielkości rzeką świata — Kongo — do Kinszasy.

Rzut oka na mapę wskazuje, że trasa ekspedycji przecięła kontynent afrykański mniej więcej na linii Równika. Wiodła przez Kenię, Tanzanię, Ugandę, Ruandę i Zair. Każda z tych nazw wiąże się dziś z procesami rozwijającej się suwerenności afrykańskiej. Jednym z jej znaków jest asfaltowa szosa, którą posuwały się samochody japońskich podróżników. Jakże inaczej wyglądała przed stu laty wyprawa Stanleya, która wyruszyła przez bezdroża na poszukiwanie zaginionego Livingstone'a!

Budowa dróg i kolei powoduje, że Afryka równikowa coraz mniej będzie kryła tajemnic. To nie znaczy, że nie ma ich dziś jeszcze bardzo wielu. Po obu stronach drogi, którą posuwali się Japończycy, rozciągają się dziewicze puszcze i wielkie, niezbadane jeszcze przestrzenie. Ale cywilizacja wkracza już zdecydowanie na ten kontynent. Realizują ją sami Afrykanie, udowadniając na co dzień, że są zdolni być samodzielnymi włodarzami swojej ziemi.

Film japoński, który powstał w efekcie omawianej wyprawy, niesie treści głęboko humanistyczne. Autorzy jego przepojeni są sympatią dla miejscowych ludów, wyczuleni na każdy przejaw przeobrażeń i postępu. Nic dziwnego, że i ze strony Afrykańczyków spotykały ich na każdym kroku objawy przyjaźni i zaufania.

Może to truizm, ale nasuwa się wniosek, że wzajemne poznanie się ludów świata, prowadzi do zbliżenia i przyjaźni, co pozwala z optymizmem patrzeć w przyszłość naszego globu.

**WŁADYSŁAW ORŁOWSKI**

# Spektakle tygodnia

**na okres od 15 do 21. V. 1972 r.**

**TEATRY**

| | Ilość spektakli | Liczba widzów | proc. |
|---|---|---|---|
| **WIELKI** | | | |
| „Henryk VI na łowach" | 2 | 2310 | 92 |
| „Madame Butterfly" | 1 | 1260 | 100 |
| „Dafnis i Chloe" | 1 | 1260 | 100 |
| **NOWY** | | | |
| „Karabiny" | 2 | 840 | 60 |
| „Idiota" | 2 | 1120 | 80 |
| „Żołnierz i bohater" | 4 | 2800 | 100 |
| **NOWY MAŁA SALA** | | | |
| „Kocioł" | 2 | 320 | 80 |
| „Lekkomyślna siostra" | 2 | 360 | 90 |
| **POWSZECHNY** | | | |
| „Ojciec królowej" | 2 | 1336 | 100 |
| **JARACZA** | | | |
| „Mirandolina" | 6 | 2020 | 85 |
| „Tajemniczy ogród" | 1 | 464 | 90 |
| **7.15** | | | |
| „Trędowata" | 4 | 1669 | 100 |
| „Piosenki pań swawolnych" | 2 | 528 | 63 |
| **OPERETKA** | | | |
| „Kaper królewski" | 6 | 4798 | 71 |

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

**NIEZWYKŁA WYSTAWA**

Nawet na stosunki amerykańskie jedną z największych sensacji w dziedzinie sztuki była niedawno wystawa w nowojorskim Museum of Modern Art. Zgromadzono tu bowiem po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni, szereg obrazów z wczesnego okresu twórczości Picassa, Matisse'a i kilku innych twórców. Jest to zbiór należący niegdyś do rodzeństwa Stein. Dzieła, które były przez czas dłuższy rozproszone, zostały teraz wypożyczone od właścicieli i zebrane na wystawie. Prasa amerykańska ocenia wartość płócien na 20 milionów dolarów. Wystawa jest równocześnie hołdem dla rodzeństwa Stein, głównie Gertrudy, która wcześnie umiała dostrzec geniusz Picassa i Matisse'a wtedy gdy byli jeszcze nieznani i nieuznawani.

*Portret Gertrudy Stein namalowany przez Picassa.*

Gertruda Stein przybyła z Ameryki do Paryża mając lat 29 w roku 1903. Zamierzała, jak się zdaje, kończyć tu swoje studia psychologii i medycyny. Przyjechała do brata Leo, który marzył o tym, by zostać malarzem.

Gertruda mieszkała we Francji przez lat czterdzieści trzy tj. do końca swego życia. Zamiast studiów medycznych rozwinęła tu swe zainteresowania literackie i zamiłowania malarskie. Została wkrótce pisarką. W ciągu swego życia napisała 34 tomy. Pisywała powieści i eseje, sztuki teatralne i opowiadania. Jest autorką libretta do opery i scenariusza filmowego. Zrywając z tradycyjną formą narracji stworzyła własną technikę pisarską, propagowała twórczość opartą na autentyczności i intensywności przeżyć. Stworzyła własną teorię literacką. Ale w praktyce jej teksty są monotonne i nużące. Wywarła jednak poważny wpływ na literaturę, zwłaszcza na literaturę amerykańską.

Gertruda Stein prowadziła w Paryżu salon, gdzie zbierali się wybitni twórcy jej epoki. Udzielała porad pisarskich młodemu wówczas Hemingwayowi, bywali u niej Cocteau, Proust, Eliot. Wkrótce stała się niemal instytucją, wydając młodym pisarzom opinie o ich twórczości, często zresztą opinie bardzo surowe. Liczono się z sądami Gertrudy jak z poważnym autorytetem w dziedzinie literatury i sztuki.

Początkowo Gertruda, podobnie jak i jej brat Leo, wolała twórczość Matisse'a niż Picassa. Ale wkrótce poznaje osobiście Picassa i odwiedza go w jego pracowni. Rodzeństwo Stein kupuje wtedy za 800 franków kilka płócien tego nieznanego jeszcze malarza. Od tej chwili między Picassem a Gertrudą Stein zaczyna się przyjaźń i wzajemne zrozumienie. Gdy później Gertruda napisze szereg „portretów" zacznie właśnie od sportretowania Picassa. Ten zaś wkrótce po poznaniu Gertrudy proponuje namalowanie jej obrazu. Praca trwa wiele tygodni. Po dziewiętnastu seansach Picasso ściera całkowicie malowaną z trudem głowę Gertrudy. Rzuca robotę wykrzykując: „Nie mogę pani zobaczyć kiedy na nią patrzę". Picasso wyjeżdża na jakiś czas z Paryża, a po powrocie w ciągu jednego dnia maluje z pamięci portret Gertrudy Stein. W ciągu lat Gertruda i Leo stają się posiadaczami wspaniałej kolekcji obrazów.

„Autobiografia Alicji B. Toklas" (znana polskiemu czytelnikowi w tłumaczeniu M. Michałowskiej) pióra Gertrudy Stein jest książką napisaną z wielką prostotą. Przyniosła ona wiele wiadomości o samej Gertrudzie i jej słynnych znajomych malarzach i pisarzach. Rzekoma autobiografia Alicji B. Toklas wzbudziła wielkie zainteresowanie (niektórzy opisani przez nią twórcy, jak np. Hemingway poczuli się urażeni), a sama Gertruda stała się powszechnie znana jako pisarka.

Gertruda Stein umarła w 1946 roku. Jej zbiory malarskie przeszły na własność Alicji B. Toklas, Amerykanki polskiego pochodzenia, serdecznej przyjaciółki Gertrudy, jej sekretarki i równocześnie gospodyni. Po śmierci Alicji kolekcję dziedziczy bratanek Gertrudy Allan Stein. W roku 1967 kiedy umiera Allan, czterdzieści dzieł Picassa zostaje zabezpieczonych w stalowych kasach jednego z londyńskich banków. Stąd obrazy wędrują do nowojorskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej, gdzie sprzedane zostały pięciu finansistom za sumę sześciu milionów dolarów.

Ostatnia scena kończąca historię kolekcji Gertrudy Stein miała w sobie coś z makabrycznego widowiska z „teatru absurdu". Do kapelusza zostały wrzucone numery w zapieczętowanych kopertach. Ten kto wyciągnie numer 1 ma pierwszy prawo wyboru dzieła spośród kolekcji. Jedynkę wyciąga najbogatszy z pięciu panów — Rockeffeler i on pierwszy wybiera obraz. A potem kolejno, według porządku wyciąganych numerów, owa piątka finansistów kupuje obrazy należące niegdyś do Gertrudy Stein, która jedna z nielicznych tak wcześnie poznała się na geniuszu Pabla Picassa.

**ROLAND PETIT W HOŁDZIE MAJAKOWSKIEMU**

Znany choreograf francuski Roland Petit, który prowadzi balet opery marsylskiej, wystawił ostatnio spektaki ku czci Majakowskiego. Balet składa się z trzynastu scen ilustrujących życie i twórczość wielkiego poety radzieckiego m. in. pełną entuzjazmu młodość, udział w Rewolucji, wielką miłość, osobistą tragedię prowadzącą do samobójstwa.

Jak twierdzą liczni recenzenci pism francuskich wspaniale zostały pokazane zwłaszcza sceny zbiorowe oddające zryw i entuzjazm rewolucyjny. Na muzykę do baletu złożyły się utwory kompozytorów rosyjskich i radzieckich, głównie Prokofiewa. Warto też podkreślić, że młodego Majakowskiego, futurystę o bujnej czuprynie, kreuje Denis Ganio, a Majakowskiego, piewcę Rewolucji, kreuje sam Roland Petit.

**GEORG TRAKL**

W roku 1914 na terenie byłej Galicji w szpitalu polowym, przez dwa dni i dwie noce z rzędu, 90 śmiertelnie rannych żołnierzy austriackich konało w męce bez żadnych środków leczniczych i uśmierzających. Pewien farmaceuta w mundurze należący do personelu owego szpitala, bezradny i zrozpaczony został odwieziony do szpitala z powodu rozstroju nerwowego. Nie wyszedł już stamtąd nigdy. Zmarł zażywszy nadmierną dawkę kokainy. Nim umarł napisał jeszcze poemat zatytułowany „Grodek" od miejscowości gdzie w polowym szpitalu konali w męce żołnierze.

Owym farmaceutą był 27-letni Georg Trakl, alkoholik, narkoman i — jak dziś twierdzą niektórzy — geniusz poetycki.

*Georg Trakl*

Prasa francuska poświęciła ostatnio sporo miejsca osobie i twórczości Trakla. Ukazały się właśnie w języku francuskim „Dzieła wszystkie" Georga Trakla i monografia o nim pt. „Situation de Georg Trakl" pióra Jean-Michela Palmier. Obie książki wywołały żywe zainteresowanie w świecie literackim. Twórczość Trakla przypomina fantastyczny świat Novalisa, wizje Rimbauda, szaleństwo Dylana Thomasa. Mówi się ponadto o pokrewieństwie poetyckim z Verlaine'em czy Hölderlinem. Wyobraźnia Trakla jest tak pełna dziwacznych, pięknych lub okrutnych wizji, że prześciga nawet najbardziej niesamowite dzieła nadrealistów.

Dzieciństwo i młodość spędził Georg Trakl w zamożnej rodzinie mieszczańskiej w jednym z najpiękniejszych miast Europy — w Salzburgu. Ale już we wczesnej młodości prześladują go obrazy śmierci, okrucieństw, cierpień. Gdy ma lat piętnaście zaczyna się narkotyzować.

Trzeba zaiste okrutnej ironii losu, że człowiek, którego w wyobraźni męczyły widma śmierci i makabryczne sceny, później ujrzał, że i przeżył w rzeczywistości.

Ci którzy znali Trakla pamiętają go jako młodego człowieka o niesamowitej twarzy, jakby zastygłej w kamiennym wyrazie, z dziwnymi oczyma wpatrzonymi uporczywie w rozmówcę.

Georg Trakl pozostawił po sobie dzieła tajemnicze i ciemne, ale pełne poetyckiego żaru i pasji. Niektórzy krytycy twierdzą, że Georg Trakl jest jednym z najwybitniejszych poetów naszego stulecia piszących w języku niemieckim.

# Bez strachu

## JAK POWSTAJE KSIĄŻKA

Autor: Drogie dzieci! Mam wam dzisiaj powiedzieć, jak powstaje książka, w szczególności powieść... Doprawdy jestem w kłopocie...

Dzieci: Niech pan wali śmiało i prosto, panie literacie!

Autor: Tyle jest sposobów pisania, a nie ma ani jednego pewnego...

Dzieci: Czy pisze pan na maszynie?

Autor: Nie, piszę długopisem.

Dzieci: No, to już wiemy, że powieść pisze się długopisem. Na jakim papierze?

Autor: Papier musi być przedniej jakości...

Dzieci: Czy gładki?

Autor: Broń Boże! W kratkę, koniecznie w kratkę! Czy pozwolicie, że zapalę papierosa?

Dzieci: Niech pan pali? Proszę się nie denerwować, nikt przecież tu na pana nie krzyczy, nikt pana nie bije!

Autor: Oj, krzyczą, krzyczą. Tylko nie tutaj...

Dzieci: Czy leją pana także?

Autor: O nie, co to, to nie...

Dzieci: No, widzi pan. Jeżeli nie biją, to wszystko gra.

Autor: Właściwie chciałbym być jednym z was!

Dzieci: Wiadomo, nasze jest przecież Królestwo Niebieskie i przed nami całe życie. Czy czytał pan Freuda i Fromma „Ucieczkę od wolności"? Wiadomo, to pragnienie tego, co nauka nazywa chęcią powrotu do łona matki, a religia koniecznością ponownych narodzin...

Autor: Jakie wy jesteście uroczo naiwne! Gdybym był jednym z was, nie musiałbym chodzić na spotkania autorskie...

Dzieci: A po co pan łazi!

Autor: Pragnę poznawać czytelników, poszerzać ich krąg.

Dzieci: Wśród nas nikogo pan nie pozyska. Widać, że brak panu metody i wykształcenia, a my cenimy dyscyplinę naukową, konceptyzm i scjentyzm. Co pan sądzi o strukturalizmie?

Autor: Prawdę mówiąc zupełnie nie rozumiem, co to takiego...

Dzieci: Spodziewaliśmy się podobnej odpowiedzi. Ale wracajmy do tematu — pan jest przecież kompletnie rozkojarzony. Zatem jak powstaje książka?

Autor: No, książka powstaje przez napisanie. Po prostu trzeba ją napisać. Bez pisania nie ma książki.

Dzieci: Jakie pisze pan książki, małe czy duże?

Autor: Średnie.

Dzieci: Czy lubi pan pisać książki?

Autor: Nie!

Dzieci: To dlaczego pan pisze?

Autor: A z czego będę żył. Co wy sobie myślicie? Zadajecie mi perfidne pytania, chcecie doprowadzić mnie do ruiny!

Dzieci: Wręczając te kwiaty, dziękujemy panu, panie Autorze za to miłe i pouczające dla nas spotkanie.

BERNARD SZTAJNERT

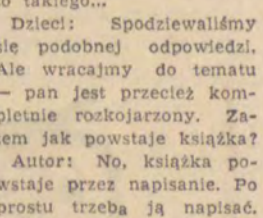

# OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

## CO SŁYCHAĆ W FOTOGRAFICE?

**NADEPNĘLI NA ODCISK? — 140 KONTRA 20 — KTO MA RACJĘ — LEGITYMACJA ZOBOWIĄZUJE — SZTUKA CZY RZEMIOSŁO — REWOLUCJA „GRUPY TORUŃSKIEJ" — MARAZM I JAŁOWOŚĆ — WYBÓR ALBO PROPORCJE**

Niedawno wpadł mi w ręce 68 numer Biuletynu Związku Polskich Artystów Fotografików, w którym przeczytałem: „kol. J.P. poruszył sprawę pogarszających się stosunków wewnętrznych na skutek niewłaściwego postępowania trzech młodych członków „grupy toruńskiej", którzy aktualnie są studentami szkoły filmowej i stali się członkami okręgu łódzkiego. Członkowie ci nie zastosowali się do obowiązujących w ZPAF przepisów, dotyczących poddawania wystaw indywidualnych ocenie komisji kwalifikacyjnej i naruszyli od dawna ustalony tryb postępowania..."

Po przeczytaniu powyższego odniosłem wrażenie, że widać młodzi artyści komuś nadepnęli na odcisk. I zaraz przyszła refleksja, że parę już lat nie było Okręgowej Wystawy ZPAF w Łodzi, że ciekawsze inicjatywy ekspozycyjne podejmują łódzcy fotoreporterzy, a nie ZPAF, że wystawa „grupy toruńskiej" była jedną z najciekawszych wystaw sezonu...

W sukurs przyszła mi także statystyka. Oto wystawa „Architektura Łodzi". Fotoreporter Andrzej Wach wystawia tam 140 prac, dwudziestu pięciu członków oddziału ZPAF zaprezentowało natomiast... 20 fotogramów.

Po raz pierwszy nastąpiła artystyczna nobilitacja fotografiki — niejako urzędowo — przez muzeum. Oto dzięki „grupie toruńskiej" znalazły się w zbiorach Muzeum Sztuki Nowoczesnej prace fotograficzne traktowane jako dzieła sztuki. Nie da się ukryć — „grupa toruńska" wniosła w zastygłą atmosferę łódzkiego środowiska artystów-fotografików autentycznie ożywczy ferment. Może więc to jest owym „naruszeniem od dawna ustalonego trybu postępowania?".

A może „grupa toruńska" nie pogorszyła stosunków panujących w Oddziale Łódzkim ZPAF, tylko po prostu nie chciała im się podporządkować, jako nietwórczym i skostniałym. I może właśnie ci młodzi artyści mają rację?

Bowiem, jak słyszę, w ZPAF nie dyskutuje się na zebraniach problemów fotografii artystycznej, natomiast najczęstszym tematem jest cennik fotograficzny; choć i ten (istotny przecież) problem rozważany bywa raczej w tonacji narzekania, bez jakichkolwiek konsekwencji i próby zmian.

Oto co mówi jeden z najwybitniejszych łódzkich fotografików, buntujący się zresztą od lat przeciwko zastygłej atmosferze środowiska: „Na skutek braku zainteresowań sprawami fotografiki awangardowej, na skutek braku dyskusji na tematy sztuki w oddziale łódzkim ZPAF — w efekcie tworzymy grupę osób, posiadających legitymację związku twórczego, ale tylko po to, by móc zarabiać na fotografii. Zapominamy, że posiadanie legitymacji zobowiązuje do pracy artystycznej. Niestety są tacy, którzy od wielkiego dzwonu odfajkowują zdjęcia na wystawę okręgową, pokazując raz na jakiś czas swoje osiągnięcia sprowadzające się do 2—3 prac. Resztę sił i umiejętności twórczych poświęca się fotografii zarobkowej, która w 90 proc. nie ma nic wspólnego z fotografią artystyczną..."

Nic dziwnego, że w tej sytuacji postawa „grupy toruńskiej" jest swego rodzaju rewolucją. Nic dziwnego, że w tej sytuacji nie mamy od lat ciekawych wystaw łódzkich fotografików. Powtarzam — ciekawe ekspozycje sygnalizowane także i w tej rubryce, były autorstwa albo twórców spoza Łodzi, albo łódzkich fotoreporterów.

Jak się wydaje, marazm i jałowość w środowisku (a może w zarządzie?) trwa już wystarczająco długo, aby wreszcie coś twórczego zaczęło się w nim dziać. Nie może być chyba jedyną reakcją notka w Biuletynie, redagowana w tonie urażonego prestiżu.

Fotografia może być autentyczną Sztuką. W Polsce i na świecie mamy dość przykładów, że tak jest. Fotografia może być także rzemiosłem, ale trzeba dokonać wyboru, lub wyważyć proporcje. A w łódzkim środowisku artystów-fotografików dzieje się nie najlepiej. I nie „grupa toruńska" jest tego przyczyną. Wydaje mi się nawet, że wręcz przeciwnie.

JERZY WIDOK

EDGAR WALLACE

# Miłosne listy

Trzej przyjaciele — Manfred, Gonzalez i Raymond siedzieli o zmierzchu w swym biurze adwokackim przy Curzon Street. Gdy zabrzmiał dzwonek Manfred spojrzał na zegarek.

— Jest trochę za wcześnie na pocztę... Raymond, zobacz, kto tam może być. Czekaj, zaraz ci powiem: piękna kobieta w czerni, lat około 25, bardzo nerwowa i na pewno zakłopotana.

Gonzalez uśmiechnął się podczas gdy Raymond wstał z fotela i poszedł otworzyć drzwi.

— Nie udawaj jasnowidzącego — rzekł. — Z miejsca, gdzie siedzisz widać dokładnie ulicę. Po co kpić ze starego przyjaciela?

— Ależ on wie, że ja żartuję — odpowiedział Manfred leniwie. — Widział ją także, przeszła już trzy razy po drugiej stronie ulicy, spoglądając w kierunku naszego domu. Gdybyś nie czytał gazety...

W tym momencie wrócił Raymond.

— Chce rozmawiać z jednym z nas — oznajmił. — Nazywa się panna Brown... Chociaż nie wygląda na to nazwisko.

Manfred spojrzał na Gonzaleza.

— Lepiej, żebyś ty się nią zajął — zaproponował.

Gonzalez poszedł do saloniku. Dziewczyna stała odwrócona plecami do okna. Twarz miała w cieniu.

— Proszę nie zapalać światła — odezwała się głosem spokojnym i stanowczym. — Nie chciałabym, żeby mnie pan rozpoznał.

— Nie miałem zamiaru przekręcić kontaktu, panno Brown. Przyjmujemy często wizyty osób obawiających się rozpoznania w razie ponownego spotkania. Wiem także, iż pani ma niewiele czasu i nie chce stracić powrotnego pociągu.

Zdziwiła się bardzo.

— Skąd pan o tym wie?

— Bo w przeciwnym razie poczekałaby pani póki się ściemni zupełnie i potem zapukała do naszych drzwi.

Usiadła na krześle przy stoliku. — Tak jest naprawdę. Moje minuty są policzone, panie...

— Gonzales — przedstawił się adwokat.

— Szukam porady w ważnej sprawie. Jestem szantażowana. Nie mogę zwrócić się do policji, gdyż boję się rozgłosu. Mój ojciec... jest wysokim urzędnikiem państwowym. O, jakże byłam głupia!

— Listy?

— Listy i inne rzeczy. Sześć lat temu byłam studentką medycyny. W uczelni zaprzyjaźniłam się z pewnym studentem i zakochałam się w nim. Było wiele listów miłosnych, jak zwykle.

— I one są właśnie podstawą do szantażu?

Skinęła głową. — Dowiedziałam się, że był żonaty. Rozpaczałam... Porzuciłam studia i wróciłam do domu.

— Kto panią szantażuje?

— Właśnie on. Mimo ukończenia studiów upadł bardzo nisko. Stał się narkomanem, nigdzie nie pracuje. Posiadam trochę własnych pieniędzy, matka zostawiła mi rentę 2000 funtów rocznie — i naturalnie zapłaciłam.

— Kiedy go pani widziała po raz ostatni?

— W czasie Bożego Narodzenia... tylko przez chwilę. Nie przebywał z nami... i właśnie kończył...

Ogarnęła ją panika, prawie bez tchu wyszeptała: — Zobaczyłam go przypadkowo, to był szok dla mnie... z powodu jego głosu. Miał zawsze wspaniały tenor.

— Czy śpiewał?

— Tak, w kościele. Tam go usłyszałam. Po dwóch miesiącach napisał do mnie, żądał 500 funtów. Już mu dałam ponad tysiąc i odpowiedziałam, że więcej nie otrzyma. Wówczas przysłał mi fotokopię jednego z moich listów... Panie mecenasie, poznałam innego człowieka... i John zapewne przeczytał wiadomość o moich zaręczynach.

— Narzeczony wie o wcześniejszej miłości?

— Nie wie i nie może wiedzieć.

— Jak się nazywa ten szantażysta?

— John Letheritt, mieszka White Street 27. Wynajął tam pokój, który mu służy jako biuro i mieszkanie. Wczoraj otrzymałam nowy list. Proszę przeczytać.

Podała mu kartkę, zbliżył się do okna. Piszący żądał trzech tysięcy funtów grożąc w razie odmowy przekazaniem pewnych „papierów w określone ręce".

— Co mam dla pani uczynić?

— Chciałabym, żeby pan go nastraszył i odebrał mu te listy. Zgłoszę się do pana za kilka dni...

Gonzales poczekał, aż drzwi się zamknęły za klientką i udał się na ulicę White Street. W starym domku na trzecim piętrze odnalazł drzwi ze świeżym napisem: John Letheritt. Ekspert. Adwokat zapukał. Odezwał się szorstki głos:

Kto tam?

Po długich targach mężczyzna otworzył drzwi. Był w brudnej koszuli, nie ogolony. W nędznie umeblowanej izbie unosił się zaduch opium.

— Co pan chce? — warknął Letheritt. — Jeżeli pan przyszedł po te listy, to ich tu nie ma. Proszę to powiedzieć Gwendzie.

— Ach ty brudny, nędzny szantażysto! — krzyknął Gonzalez. — Panna Gwenda chce podać sprawę do sądu!

— Niech podaje. Aresztują mnie i zabiorą. Siedziałem już w więzieniu. A teraz wynoś się stąd!

To mówiąc wypchnął Gonzaleza za drzwi...

Adwokat był przekonany, że listy znajdowały się w mieszkaniu szantażysty.

Wrócił do swych przyjaciół i powtórzył rozmowę z panną Brown. — W tym, co powiedziała — rzekł — jest kilka elementów godnych zwrócenia uwagi. Pierwszy: słyszała jak Letheritt śpiewał w kościele w czasie Bożego Narodzenia, czyli dziewięć miesięcy temu... Drugi: wyraziła się tak — „Nie przebywał z nami" i „właśnie kończył"... Co kończył? Letheritt wzbudza we mnie odrazę. Jestem zdecydowany przetrząsnąć jego mieszkanie i odebrać mu te listy.

— Masz rację — rzekł Manfred. — Na pewno ich nie trzyma w banku ani u adwokata...

Gonzalez nie tracił czasu. Przez kilka dni obserwował dom Letheritta, lecz nie mógł się tam jednak dostać, gdyż szantażysta zamykał mieszkanie na rygiel...

Pewnego dnia zjawił się w biurze adwokackim komendant policji Meadows, który przyjaźnił się z trójką kolegów. Przyszedł poradzić się w sprawie sfałszowanego paszportu. Wieczór spędzono przyjemnie na opowiadaniu anegdot z życia kryminalistów.

Gonzalez odprowadził komendanta aż do Regent Street. Rozmowa zeszła na Johna Letheritta.

— Znam go bardzo dobrze. Aresztowałem go dwa lata temu, dostał osiemnaście miesięcy więzienia. To podły człowiek, nielojalny nawet wobec swoich wspólników. Właśnie on pchnął do więzienia Jacka Bella, najzręczniejszego włamywacza. Jack dostał dziesięć lat. Nie życzyłbym sobie znaleźć się w skórze Letheritta tego dnia, kiedy Jack wyjdzie z więzienia.

Nagle adwokat zadał policjantowi pytanie a gdy otrzymał odpowiedź oniemiał na chwilę a potem wybuchnął śmiechem.

— Nie rozumiem, z czego się pan śmieje.

— Ale ja wiem — zapewnił Gonzalez. — Przekonałem się, że jestem krótkowzroczny.

— Potrzebny panu Letheritt? Mogę powiedzieć gdzie mieszka.

— Nie, nie, ale chciałbym spędzić dziesięć minut w jego mieszkaniu — rzekł Gonzalez.

— Pewnie szantażuje kogoś, co? Zadawałem sobie nieraz pytanie skąd bierze pieniądze na życie.

Lecz adwokat już nie chciał rozmawiać. Wrócił do domu i zaczął badać przewodniki oraz mapę więzień. Usnął nad ranem... Niedługo usłyszał pukanie do drzwi wejściowych. Wyjrzał oknem i zobaczył na ulicy komendanta.

— Proszę zejść na chwilę, muszę z panem porozmawiać — rzekł Meadows.

Gonzalez włożył szlafrok, zszedł o piętro niżej i otworzył drzwi.

— Czy pan sobie przypomina, że tematem naszej rozmowy w czasie spaceru był Letheritt? — zaczął komisarz, gdy wszedł do

salonu. Mówił ostrym tonem i przyglądał się adwokatowi podejrzliwie.

— Tak, pamiętam.

— Czy pan znów wychodził, gdy się rozstaliśmy?

— Nie. Dlaczego?

— Letheritt został zamordowany około 2 w nocy, a mieszkanie splądrowane.

— Zamordowany? Złapaliście zbrodniarza?

— Nie, lecz go złapiemy, może być pewny. Widział go patrolujący policjant jak spuszczał się w dół po rynnie. Widocznie wszedł do mieszkania Letheritta przez okno. Policjant zadzwonił do komendy. Trzeba było wyważyć drzwi. Letheritt leżał na łóżku nieżywy. Ktoś go uderzył w głowę, w normalnych okolicznościach nie byłoby to śmiertelne, lecz przy jego stanie zdrowia uderzenie spowodowało śmierć. Zbrodniarz pozostawił na oknie trzy odciski palców...

Po odejściu policjantów Gonzalez pobiegł na górę aby oznajmić wiadomość kolegom.

Lecz najciekawsze nastąpiło, gdy siedzieli przy śniadaniu. Meadows wrócił, był podniecony.

— Tragiczny dzień dla Scotland Yardu! — krzyczał. — Nastąpiło zburzenie systemu identyfikacji wypracowanego od lat!

— Ale o czym pan mówi? — wtrącił Manfred.

— Posiadamy kopie odcisków i okazało się, że te na szybach należą bez wątpienia do Jacka Bella. Tymczasem on siedzi w więzieniu w hrabstwie Wilford.

— To bardzo ciekawe — mruczał Gonzalez. — Chciałbym porozmawiać z Bellem.

— Po co? Patrolujący policjant poznał na fotografii człowieka, który spuszczał się po rynnie. Zatelefonowałem do więzienia myśląc, że uciekł. Ale jest tam, nie ruszał się nigdy stamtąd...

Uzyskawszy zezwolenie Gonzalez pojechał do Wilfordu. Tamtejsze więzienie było małym zakładem karnym, w którym trzymano więźniów znających się na introligatorstwie. Zajmowali się oprawianiem książek.

Naczelnik straży, który zajął się adwokatem, poinformował go, że niedługo przeniosą więźniów do Maidstone. Zmartwił się tą zmianą. — Mieliśmy tu dobrych ludzi, spokojnych, zdyscyplinowanych. Pilnuje ich tylko jeden strażnik.

— Kto był strażnikiem tej nocy? — zapytał Gonzalez.

— Bennett. Jest chory po ataku wątroby w nocy. Mieliśmy dziś dochodzenie w sprawie człowieka, którego chce pan zobaczyć. Bennett leży w łóżku ze strasznym bólem głowy.

— Chciałbym porozmawiać z dyrektorem.

— Nie ma go. Pojechał do Dover z panną Folian, swoją córką, wyjechała na kontynent.

— Panna Gwenda Folian? Czy to ona studiowała, aby zostać lekarką?

— I jest lekarką — zapewnił z dumą strażnik. — Gdy Bell o mało nie umarł z powodu ataku serca, uratowała mu życie. Bell pracuje jako służący w domu dyrektora, dałby sobie uciąć rękę za pannę Gwendę.

Rozmawiali w głównym przedsionku więzienia. — W tym fotelu pewnie siedzi nocny strażnik — zauważył adwokat. — A te drzwi dokąd prowadzą?

— Do mieszkania dyrektora.

— Założę się, że panna Gwenda nieraz tu się przesuwa z kawą dla strażnika?

— To byłoby wbrew regulaminowi — odpowiedział niechętnie strażnik. — A więc chce pan zobaczyć Bella?

— Już nie potrzeba...

— Gdzie taka czarna owca jak Letheritt mogła śpiewać w kościele? — zapytał Gonzalez referując kolegom sprawę. — Tylko w więzieniu. Panna Gwenda i jej rodzina chodziła na nabożeństwa. Bell „nie był z nami"... pamiętacie? To naturalne. „Właśnie kończył"... karę więzienia. Biedny Meadows. Jego wiara w linie papilarne załamała się tylko dlatego, że pewien więzień z Wilfordu dotrzymał słowa i oddalił się na dwie godziny aby odebrać owe listy miłosne, podczas gdy Bennett uśpiony siedział w fotelu a panna Gwenda czuwała zamiast niego.

Maj 1972

Oprac. A. S.

## *Lewym okiem*

### *GENIALNY SALCESON*

*W swej przedziwnej księdze „O kiczu" Andrzej Banach podał między innymi również i definicję, według której kiczem jest wszystko to, co się zbyt łatwo podoba. Przy takim ujęciu na pewno nie są kiczem rysunki Bożeny Wahl, wplatane nader licznie od wielu lat, chociaż całkiem z niczym nie związane, w uczone artykuły tygodnia „Kultura". Rysunki Bożeny Wahl wcale się bowiem zbyt łatwo nie podobają, są to obłe i niespokojne kreski, kojarzące się w wyobraźni z różnymi częściami ciała odartymi ze skóry, nadgniłymi embrionami, potworkami uciekającymi szybko z pola zrozumienia.*

*„Sztuka jest środkiem udzielania sobie wzajemnie wzruszeń" — pisał w 1910 roku, a więc w czasach gdy sztuka nie wiedziała jeszcze czym ona nie jest — Jaroszyński w sympatycznym dziełku „Jak patrzeć na dzieła sztuki". Przy takim ujęciu rysunki Bożeny Wahl nie są sztuką, bo nie udzielają wzruszeń, poza wzruszeniem ramion. Nie są więc ani kiczem według Banacha, ani sztuką według Jaroszyńskiego. Zresztą można by tak się mądrzyć jeszcze przez czterdzieści felietonów.*

*„Trędowata" jest na pewno kiczem, bo podoba się łatwo i niezmiernie. We wszystkich mieszkaniach wszystkich bloków, wszystkich miast wiszą „Słoneczniki" Van Gogha. Widocznie łatwo się podobają. Banach nie zawahałby się powiedzieć w tym miejscu: no oczywiście! Są przecież genialnym kiczem! Skoro tak, skoro i tak nic nie wiadomo, to dajmy już spokój cenzurkom i zainteresujmy się po prostu: a co właściwie, proszę panów, co się podoba?*

*Kiedy wszystkiego jest na rynku za mało — podoba się wszystko i żadnej hierarchii upodobań wyobrazić sobie nie sposób. Sposób jest tylko jeden — właśnie taki, jakiego chwycił się krakowski Ośrodek Badań Prasoznawczych: przez dziesięć tygodni dostarczano do Słupska i do Włocławka wszystkie pisma w nieograniczonych ilościach, aby sprawdzić, które z nich naprawdę są bardziej poszukiwane od innych. No i są wnioski.*

*Znacznie wzrosła sprzedaż „Kulis" i „Panoramy", a spadła sprzedaż „Perspektyw". Czyli w normalnych, nie eksperymentalnych warunkach ludziska kupują „Perspektywy" tylko dlatego, że nie mogą dostać „Kulis". Dziesięciokrotnie wzrosła sprzedaż katowickiego „Sportu" (352 egzemplarze zamiast poprzednich 37), dwu i pół-krotnie sprzedaż pism kobiecych, natomiast „Polityki" i „Forum" — o 2,2 proc. Nie podano, ile te procenty wynoszą w przeliczeniu na egzemplarze. Na pewno nie więcej niż 1—2 sztuki. A więc kupujemy „Politykę" spod lady, a jak dadzą ile dusza zapragnie — to sprzedaż wzrasta o dwa egzemplarze! Przez tych dwóch smętnych typów tyle lat ganiamy po mieście i przymrugujemy do kioskarzy, żeby dodali nam „Forum" do „Przeglądu Penitencjarnego", „Współczesnej Korei" i „Polskiej Pszczoły"!*

*Wnioski są więc częściowo zaskakujące częściowo oczywiste. Ale mnie chodzi o coś troszkę innego: gdyby tak metodę Ośrodka Badań Prasoznawczych zastosować do innych branż! Na przykład: przez dziesięć tygodni zaopatrywać miasto Łódź w dowolne, nieograniczone ilości wszystkich rodzajów wędlin celem zorientowania się, ilu naprawdę mamy amatorów salcesonu a ilu — faszerowanego boczku? Eksperyment ten należałoby zresztą udoskonalić, mianowicie salceson powinien być salcesonem, a nie czymś pośrednim pomiędzy nóżkami w galarecie a klejówką garbarską; kaszanka powinna być kaszanką, a nie kaszą sprasowaną w brązowe cegły przy pomocy nieokreślonego lepiszcza; kiełbasa powinna być kiełbasą, a nie czymś mokrym, co trzeba przed użyciem wieszać nad zlewem do obcieknięcia jak twarożek.*

*Gdyby przeprowadzić taki eksperyment, gdyby zwłaszcza twardo zrealizować wymienione wyżej, dodatkowe założenia jakościowe, kto wie, czy nie okazałoby się, że sprzedaż tak poszukiwanej obecnie szynki i polędwicy wzrosłaby na podobieństwo równie kalorycznej „Polityki" — o 2,2 proc., a sprzedaż prawdziwego, nie budzącego postronnych skojarzeń salcesonu — o kilkaset procent! Niech by nawet ten salceson był kiczem, zbyt łatwo się podobającym, ale kiczem genialnym, jak „Słoneczniki"!*

ĆWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Pawluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk.: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1247. D-4.